



ROK LVIII

NR 20

MISŁY GODNIOWE I ILLUSTROWANE DLA KOBIEK

WARSZAWA, 16 MAJA 1925 ROKU.

TREŚĆ NUMERU: O poczucie obywatelskości—*M. Domańska*. Emigracja kobiet do Francji—*Stanisław Posner*—senator. O przypomnianym szczególe—*Zofja Łosiowa*. Matematyka jako czynnik wychowawczy—*K. Ś.* W świątyni dobra—*C. Walewska*. Wiersze—*Estrelcherówna*. Braterstwo ludów (c. d.)—*Marja Jehanne-Wielopolska*. Zatrzymany zegar (powieść) c. d.—*Wanda Miaszewska*. Jak się Jasiczek Pazerny na świętego ryktował—*Władysława Jankowska*. Marja Dąbrowska—*Stefanja Podhorka-Okolów*. Na marginesach życia—*Andrea*. Kobieta w świecie i w domu—*Z. B.* Z refleksyj na czasie—*Matka*. Wychowanie fizyczne i sport—*I. F.* ...Przecież tam jest Warszawa!—*Hanna Skarbek*. Z książek—*M. Domańska*. Z teatrów—*p.* Z Ruchu Wydawniczego. Malowane garnki. List z Paryża—*Sekwa*. W imię posągu—*Spero*. Dymek z papierosa—*W.* Zdobienie balkonów i okien—*Stan. Schönhofeld*. Odświeżanie i pranie letnich sukien—*J. S.* Przepisy gospodarskie—*Pani Elżbieta*. Dobre rady. Korespondencje działu praktycznego. Nadesłane do Redakcji. Komunikat Biura Prasowego dla spraw kobiecych. Dodatek robót i ubiorów. ARKUSZ WZORÓW

O POCZUCIE OBYWATELSKOŚCI

C oraz częściej na łamach różnych pism rozlegają się pytania: kiedy nareszcie otrząśniemy się z haniebnych nałogów półtorawiecznej niewoli? Kiedy nauczymy się być obywatelami swego kraju, chętnie i radośnie spełniającymi powinności? Kiedy przestaniemy narzekać na wszystko co swoje, przeciwstawiając siebie — w przedziwnym zaniku pocuć narodowych — temu co polskie i nasze? Kiedy godność narodu zabroni nam skarg i krytyk wobec cudzoziemców, nieraz usposobionych wrogo lub złośliwie — i notujących pilnie w pamięci te wyrzekania bezcelowe, bezużyteczne zawsze, a tak często szkodliwe?

Miłość ojczyzny — to nie efektowny, jednorazowy poryw, to nie łza rozczenia przy czytaniu porywającego uczuciem patriotycznym wiersza to nie bicie okłasków na widok wspaniałej postawy wojsk naszych, to ustanny trud, drobna nieraz i przyziemna praca, ofiary częste, niesione chętnie, to pamięć nieustanna o tem, co dla Niej potrzebne, pożyteczne, najlepsze, to podporządkowanie Jej dobru — spraw osobistych, zysków, zachcianek. To Ona na dnie myśli naszych i postanowień, nieustannie obecna i Jej sprawy jako najwyższy nakaz dla spraw naszych. Egzaltacja powiecie? Tylko najpierw-

szy, najprostszy, najzwyczajniejszy obowiązek, nie zrozumiany jeszcze należycie. Bohaterskie czyny spełniać dano jedynie niektórym: lecz powinności codzienne, absolutnie wszystkim bez wyjątku. Nie potrzeba do tego ani geniuszu, ani odwagi, ani specjalnych uzdolnień i przysposobień — tylko zwykłego poczucia obywatelskości i tego my — pokolenie „zrodzone w niewoli, okute w powiciu“ — musimy się wreszcie nauczyć. Musimy się czuć wolnymi obywatelami wolnej i wspaniałej Ojczyzny. Cudem dziejowym powstała do życia, dzwignięta męką pokoleń, okupiona krwią najlepszych synów, utrzymana być musi nieustannym trudem wszystkich bez wyjątku swych dzieci.

Sprawa najdonioślejszej wagi — lecz środki, które do niej wiodą — proste. Chodzi tylko o to, aby trud był zbiorowy, wysiłek powszechny.

Zacznijmy narazie od rzeczy, zdawałoby się — drobnych, w każdym razie codziennych, mało skomplikowanych: Ku podziwowi świata, wysiłkiem własnym jedynie dzwignęliśmy się z zamętu inflacji, zdobyliśmy sobie walutę najsilniejszą dziś w Europie.

Zdawałoby się, że należy pracować jedynie nad podtrzymaniem tego stanu rzeczy. I oto ze sfer międzynarodajnych padają cyfry — nieodparcie wymowne —

ó które mówią nam, że nad krajem zawisło znowu widmo ruiny — z powodu braku poczucia obywatelskości. Nasze drogie i silne złote odpływają za granicę szerokim strumieniem, wywożone przez obywateli kraju; naszą silną i drogą walutą płacimy za towar zagraniczny, w większości wypadków luksusowy i zbędny, podważając nie tylko budżet handlowy, lecz rujnując jednocześnie przemysł własny.

Dopóki marki nasze posiadały wartość, niemal iluzoryczną, uważano naogół, że wyjeżdżać — z kraju i kupować towary zagraniczne — nie opłaca się. Dziś stosunki pieniężne ułożyły się wręcz przeciwnie. Dziś nasz złoty góruje nad innymi walutami. A zatem — wniosek prosty: i wyjeżdżać i kupować zagranicą jak najczęściej. Może się to opłacać, ale robić tego nie wolno.

Posłuchajmy nieco rozmów wokoło siebie! Nadchodzi lato, pora gremjalnych wyjazdów. Na ustach wszystkich: Ragusa, Viareggio, Biarritz, Ostenda, Bretanja i t. d. I wyliczania: Ktoś gdzieś płacił za utrzymanie dziennie ośm złotych, ktoś inny sześć, są tacy szczęśliwcy, co tylko cztery. I jakże tu nie pojechać? A pojechawszy, jakże nie skorzystać z okazji i nie kupić „bajecznie tanio“ kilku sukien i okryć „na zapas“, kilka ubranek dzieciennych — a tych cudnych fatałaszek, co są to „za bezcen“ — już wprost bez liku. I płyną złote, ciężko zarobione w kraju, nasze drogie złote, wydobyte z oddechu inflacji wielkim wysiłkiem narodu: wzbogacają cudze sklepy, cudze hotele i pensjonaty, a w tej istnej orgji wyrzucania pieniędzy poza granicami kraju — prym wiodą kobiety. — Ogarnia je istna newroza kupowania, gdy tylko stąpią na grunt cudzy. A że odwieczne prawa wszystkich krajów na świecie — cłem okładają towary wwożone po tej orgji zakupów obywatelki Polki żałują drobnej daniny ojczystemu krajowi, o kradają go z cła, ukrywają swe zakupy. Jak pomysłowo, jak przezornie, jak misternie! Halki ze sztuk jedwabiu, sztuczne biusty z koronek... Wobec swoich celników kłamią również bezczelnie, jak „to stare, przed laty noszone“... Znowu stary nałóg niewoli!...

Są i takie, które dla tych czy innych powodów do tego rajy taniości dostać się nie mogą. Znajdują na to sposoby. Co pewien czas Ministerstwo Spraw Zagranicznych wysyła kurjerów swoich do różnych stolic lub wysłanników w misjach specjalnych — za paszportami dyplomatycznymi. Posiadacze takich paszportów rewizji nie podlegają. I oto taki wysłannik, zwłaszcza gdy uprzejmy — oblegany jest przed wyjazdem przez panie! — Złoty panie, mnie jedną sukienkę z Paryża — to moje marzenie! — no! i parę bluzek!

— Dla mnie płaszczyk. — Dla mnie kostjum sportowy — i ubranie dla dziecka — i perfum, konieczne perfum, tych najmodniejszych. — Dla mnie gorset uszczuplający, i pudru. I mydła i t. d. i t. d.

Zupełnie jakby Warszawa położona była wśród lasów dzikich — lub w puszczy pierwotnej.

Biedny pan z M. S. Z. odmówić nie śmie uroczej pani X, wpływowej pani Y... i z ciężkim westchnieniem zapisuje te wszystkie polecenia na lokciowym arkuszu. I znowu ominiecie prawa — i znowu brak poczucia obywatelskiego.

Słyszę już chód odpowiedzi, do znudzenia jednakich: „Niech nam tu w kraju dadzą wszystko równie tanio — to jedyna rada i na wyjazdy i na zakupy zagraniczne“ Z kolei zapytam: „Kto ma być tym cudotwórcą, a nigdy nieokreśloną — istotą czy może interwencją niebieską — która ma dostarczyć wszystkiego wszystkim bez niczyjego udziału ani pracy? Sami sobie stworzyć wszystko musimy, my ludzie wolni i odpowiedzialni. Warunki życia takie będą, jakie je wspólnym wysiłkiem stworzymy.“

Cudowne moce nie wzbogacą kraju, jeśli go sami ubożyć będziemy, Handel ani przemysł nie będą w stanie dogadzać naszym wybrednym wymaganiom, o ile sami podtrzymywać ani rozwijać ich nie będziemy. Uzdrowiska nasze i lotniska zawsze będą stały niżej od zagranicznych, jeśli ich sami dźwigać nie będziemy. Nikt tej pracy za nas nie dokona. I nikomu nie wolno odasabniać się od tych ogólnych obowiązków, nie wolno mówić: Ja mogę jechać zagranicę, ja mogę zakupy tam czynić, bo jakież ma znaczenie moja drobna sumka Nie zważaj na szali!“

Rozumowanie to z gruntu błędne. Każdy wysiłek, każda ofiara cenne są w pracy społeczeństwa i każde pojedyncze uchylenie się od nich winno być piętnowane.

Aby ukrócić rujnujące kraj wyjazdy za granicę, rząd stawia hamulec w postaci droższych paszportów. Są one jednak jeszcze za tanie. Wydatek 250 złotych żadnego nuworisza nie powstrzyma — a jedynie dla pracującej inteligencji stanowi kwotę, z którą się liczyć musi. Ulgowe pasporty są jeszcze jednym sposobem do omijania przepisów przez zakorzeniony nałóg niewoli, bo iluż to ludzi bogatych podszywa się pod kategorię tych, którym takie pasporty są przyznawane, zamiast uczciwie zapłacić wedle prawa.

Wszelkie przepisy i zakazy są bezsilne, o ile samo społeczeństwo nie weźmie tej akcji w ręce, nie rozpocznie bojkotu przeciwko wszystkim złym obywatelom kraju. I tu wpływ kobiet może być niezmiernie doniosły. Powiedzmy sobie i innym, że jesteśmy społeczeństwem na dorobku, że przeżywamy okres sanacji, że przez czas jakiś musimy zatrzymać w kraju jak największą ilość pieniędzy. Dawno już lekarze uznali, że w kraju posiadamy uzdrowiska skuteczne na wszelkie choroby; lotniska mamy zarówno górskie jak i nadmorskie, nie mówią już o innych, gęsto po kraju całym roz-

sianych. Władze odpowiednie zabiegają o to, aby uczynić je komfortowymi i dostępnymi w cenie. Jeśli zaś o sprawunki chodzi, to warszawskie firmy potrafią zadowolnić najwybredniejsze wymagania. A jeśli nawet pomimo tego — doznamy zawodu, poniesiemy ofiarę, wyrzeczemy się przyjemności, to czyż te drobne przykrości nie będą wynagrodzone sowsic poczuciem, że my, pierwsze wolne pokolenie

od lat tyłu, wykonaliśmy swój obowiązek dobrych obywateli? Przecie to tylko drobnostka wobec nadludzkich mąk i poświęceń pokoleń, poprzedzających nas bezpośrednio.

Kobiety — Polki, zrzeczajcie się! Uczmy się same, uczmy innych wokoło, jak wypełniać należy najpierwotniejszy — a zapomniany obowiązek — obywateli wolnej Ojczyzny!

M Domańska

EMIGRACJA KOBIEŃ DO FRANCJI



d niedawna mówi się u nas o emigracji kobiecej do Francji. Mówi się o emigracji wogóle. Zaczęto mówić o niej trochę późno. Opinia

nasza, widocznie jest za mało pobudliwa. Potrzeba jej wiele czasu, zanim zacznie reagować na zjawiska, leżące poza polem bezpośredniego jej widzenia. Zjawisko emigracji do Francji rannymi swojemi zwraca się w stronę Ojczyzny od lat pięciu. Emigrant i emigrantka nie przestają skarżyć się na los swój od roku 1920. Jednak opinia milczała. W roku zeszłym na posiedzeniu Komisji Doradczej dla walki z handlem kobietami (Liga Narodów) w Genewie pani Avril de S-t Croix, przedstawicielka (assesorka) „Wszechświatowego Związku Kobiet“ (Women World association) wystąpiła z groźną filippiką przeciwko rządowi polskiemu, który wywozi emigrantów z Polski do Francji, który wywozi emigrantki i toleruje, aby robotnice polskie, wywożone pod pozorami pracy, znajdowały się następnie w domach publicznych.

Tych Polek jest tak wiele, że w departamentach Nord i Pas-de-Calais zamiast „kobieta publiczna“ mówi się prosto „Półka“. W Komisji Doradczej jestem przedstawicielem Rzeczypospolitej. Wiadomość, zakomunikowana przez

panią Avril de S-t Croix uczyniła na zebranych w Genewie przedstawicielach dziewięciu państw głębokie wrażenie.

Sparowałem cios, zadany Polsce przez Francuzkę, oświadczając, że rząd polski nie ponosi odpowiedzialności za to, co się dzieje na terytorjum francuskim. Odpowiedzialność ta kończy się tam, gdzie się kończą wpływy państwa polskiego: na granicy Polski.

Robotnik zostaje oddany w ręce urzędnika francuskiego w Polsce jeszcze. Urzędnik francuski towarzyszy mu w podróży bądź lądowej, bądź morskiej, pod jego opieką staje robotnik polski na ziemi francuskiej w porcie Havre albo w miasteczku Toul, urzędnik francuski pośredniczy pomiędzy robotnikiem polskim, a pracodawcą francuskim. Całkowita tedy odpowiedzialność ciąży na urzędnikach francuskich.

Gdyby tak było, jak mówiła pani A. de S-t Croix, byłby to fakt bezprzykładnego nadużycia zaufania, jakie w administracji francuskiej pokłada rząd polski... Przrzekłem, że zawiadomię o tych faktach rząd polski i żądać będę wyjaśnień.

*) Według odczytu, wygłoszonego w Warszawie na zgromadzeniu publicznym odbytem pod przewodnictwem pani doktorowej Męczkowskiej (z inicjatywy pań posłanek Holder-Eggerowej i Puzynianki) w Hotelu Europejskim w marcu 1925 r.

Znalazły się w Warszawie raporty konsula polskiego w Lille i raporty te stwierdziły oskarżenie, rzucone przez panią A. de S-t Croix. Może nie tak jaskrawo opisywał sprawy te konsul polski, ale niemniej prawda była oczywista: Francja dawała robotnicy polskiej nie pracę, której ta szukała we Francji, jeno — poniżenie, poniewierkę, upadek moralny. Nie wolno nam, obywatelom polskim milczeć w takich warunkach!

Zażądałem od Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, aby protestowało przeciwko wyzyskowi i nadużyciom, żądało reparacji krzywd albo: zaniechało poprostu popierania emigracji kobiet. Kobiety znajdować mają zajęcie na roli. Pracownice takie nie pracują w skupieniach większych, pracują rozrzucone po fermach, ponieważ własność rolna we Francji jest rozkawałkowana i ferma nielicznym tylko robotnikom dawać może zajęcie. Nadzoru nad takimi pracownicami nie ma. Któż, bowiem, ma nadzór ten wykonywać? Objazdowi kontrolerzy? Z czyjego ramienia i w czyjem imieniu działający? Francji?... Urzędnicy konsulatów polskich? Urzędników tych jest bardzo mało. Zostali zredukowani i są źle płatni. Słowem: trzeba poniechać emigracji Polek do Francji.

W toku rozmów z przedstawicielami Ministerstwa Pracy i Urzędu Emigracyjnego, starałem się do-

wiedzieć, ile robotnic polskich znajduje się we Francji? Nie umiano na pytanie to odpowiedzieć. Statystyki niema. Statystyka taka będzie dopiero zgromadzona. Przypuszczalnie kobiet robotnic znajduje się we Francji 50.000. Inni mówili: 80.000 (w ciągu roku 1924 emigrowało około dziesięciu tysięcy kobiet). Jest to cyfra znaczna i państwo polskie nie powinno przejść nad nią z łatwością do porządku dziennego. Nie wolno dać tym kobietom zmarnieć. Przypuściwszy nawet, że część wyjdzie za mąż za Francuzów i wynarodowi się, zrozumiemy z łatwością, że ilość takich kobiet będzie bardzo nieznaczna. Część znakomita powrócić może do kraju. Z czem wróci i w jakim wróci stanie moralnym i fizycznym, jeżeli nie będzie korzystała z opieki polskiej, jeżeli nie będzie czuła, że Ojczyzna czuwa nad nią? Kryje się tu zagadnienie wielkiej wagi politycznej i moralnej i byłoby rzeczą nie tylko karygodną, ale wprost nieuczciwą ze stanowiska polskiego interesu państwowego, gdyby się opinia publiczna nie zainteresowała tą sprawą.

Opinia publiczna długo milczała — wreszcie drgnęło jej sumienie.

Z różnych stron zaczęto się interesować zagadnieniem emigracji i zaczęto pytać, jak pojmuje państwo obowiązki swoje wobec rzeszy robotniczej żeńskiej, której ułatwia wyjazd do Francji? Co czyni, aby robotnica, która wychodzi — do obcego kraju, dlatego, że we własnym — pracy znaleźć nie może, nie czuła się w tym obcym kraju „przedmiotem”, rzeczą, narzędziem pracy i władzy, aby żyła tam w warunkach ludzkiego życia, w warunkach tych samych, w jakich żyje pod względem prawnym i społecznym robotnica francuska, aby nie była wyzyskiwana przez pracodawców, przez otoczenie, przez administrację, aby mogła bronić godności swojej i aby mogła nietylko zachować godność swoją, ale zdobywać oświatę i kulturę, zachowując cechy narodowe, język i wiarę?

Państwo, przede wszystkim zawarło w r. 1919 umowę z Francją,

umowę uzupełnioną protokołem, po długo trwających negocjacjach (od kwietnia do lipca roku 1924) w Warszawie w styczniu 1925 r. podpisanym w imieniu Polski przez ministra pracy i opieki społecznej, p. Sokala, a w imieniu Francji przez ministra pracy w gabinecie p. Herriota — p. Godart'a. Konwencja ta pod wielu względami była i jest nie tylko niedoskonała, ale prosto niedobra. Protokół poprawił ją zlekka, pozostawiając wiele luk i wiele rzeczy niedomówionych. Francja jest krajem wielkiej i wciąż zwiększającej się emigracji. Składają się na tą emigrację Włochy, Hiszpanja, Belgja, Czechosłowacja, Rosja nawet — i Polska. Rząd francuski obawia się, że ustępstwa, czynione Polakom, będzie zmuszony rozszerzyć na inne grupy imigrantów, przede wszystkim na olbrzymie zastępy włoskich imigrantów. Tych boi się najwięcej. Są niespokojne, rozdierane wewnątrzniemi walkami faszystów i komunistów; włoskie skupienia imigrantów, pracujące w pobliżu granicy włoskiej, otwierają tam niezabliźnione jeszcze kwestje „Nizy i Sabaudji”. Rząd francuski obawia się, aby przyszłe pokolenia z tego tytułu nie miały zbyt wielkich trudności do pokonania. Korzystając tedy z pracy imigrantów włoskich, pragnie dać im bezpieczeństwo, opiekę wobec możliwej przemocy kapitału, ale nie chce uważać imigrantów jak tylko za cudzo-

ziemców i nie chce dawać im żadnych uprawnień w sensie politycznym i narodowościowym. Chce ich raczej a s y m i l o w a ć za pośrednictwem szkoły, chce ich jak najprędzej przystosować do warunków politycznych życia francuskiego, chce uczynić z nich jak najprędzej obywateli francuskich. Nieraz słyszymy z ust bardzo wysoko sytuowanych politycznie i społecznie Francuzów: „nie boimy się Polaków. Polska jest daleko! Ale boimy się, bać się musimy: Włochów, Hiszpanów. Uprawnienia, które otrzymują Polacy, musiałyby z natury rzeczy być rozszerzone na przedstawicieli innych grup narodowościowych”. Tu spoczywa źródło trudności, jakie mają do zwalczenia próby organizowania szkolnictwa polskiego na szerokiej podstawie ustaw francuskich. Francuzi mówią: „szkoła musi być francuska, szkoła urzędowa, oczywiście”, I pan Poincaré, który był jeszcze u władzy w czasie, kiedy podjęte zostały w Paryżu negocjacje, mające na celu rewizję konwencji polsko-francuskiej z r. 1919, z całą stanowczością sprzeciwił się jakimkolwiek bądź odchyleniu od zasad konwencji, w szczególności w zakresie spraw szkolnych.]

Jak dotąd, szkoły, w których uwzględnione są postulaty szkolne polskie — są szkołami prywatnymi, utrzymywanymi z funduszków kapitalistów francuskich.

Są to szkoły, nie dające żadnych „praw” dzieciom...

Mamy tu jednak mówić przede wszystkim o losie robotnicy polskiej we Francji. Zjawisko, o którym mówiliśmy na wstępie — jest, przecie, tylko zjawiskiem odosobnionem. I byłoby niesprawiedliwością, gdybyśmy nie wspomnieli o zarządzeniach Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej, a w szczególności — Urzędu Emigracyjnego, mającemi na celu zorganizowanie opieki na emigrantką polską od chwili wyjazdu z domu, w czasie drogi do Francji i na miejscu we Francji.

(D. c. n.).

Stanisław Posner, senator.



O PRZYPOMNIANYM SZCZEGÓLE

(z powodu art. p. M. Jacuńskiej)

P. M. Jacuńska dała garść uwag, które napewno poruszyły umysły wszystkich kobiet zamężnych. Dotknęła w swym artykule tych wszystkich zagadnień, o które co dzień, co godzina nieledwie potyka się każda z nas, owej „kwadratury koła”: połączenia obowiązków żony i matki z pracą zawodową.

Nie chcę tu zastanawiać się nad pytaniami: „czy kobieta zamężna powinna pracować, czy nie powinna,” lub „musi, czy nie musi.”

Jeżeli chodzi o pracę zarobkową, to musi i koniec. Jeżeli zaś o czysto intelektualną, to uważam, że powinna przede wszystkim zastanowić się nad nią z punktu widzenia interesu społecznego. Co pracą swą da społeczeństwu lub ludzkości? Czy dorobek, który nią przyniesie, wart jest poświęcenia choćby w części, idealnej harmonii domu.

Pani Jacuńska twierdzi, że każda kobieta zrezygnuje łatwiej ze swej pracy i sławy, niż z pracy i sławy męża. Nie zgodzę się z tem. Nie każda. Jednostka wybitna, jeżeli ma samopoczucie swej wartości, powinna cenić swą pracę na równi z pracą męża. Bo w pracy jest ważną i miarodajną jej intensywność i celowość, a nie kto ją wykonuje. Czas już przestać dzielić pracę na „męską” i „kobieca.”

Stawiam więc ze swej strony tezę: „kobieta uzdolniona, która czuje, że jej praca przyniesie dorobek społeczny, pracować powinna.” Musi się jednak przygotować na to, że pracować będzie podwójnie, niż by to uczynił mężczyzna, pracujący w tym samym zawodzie, co ona. Bo prócz pracy zawodowej musi prowadzić dom, musi wychować dzieci.

Przy silnej woli, rozkładzie godzin, dużej punktualności i pracowitości można jedną pracę z drugą pogodzić. A idziemy, w dziedzi-

nie urzędzeń postępowych gospodarstwa domowego, ku czasom, kiedy prowadzenie gospodarstwa domowego będzie coraz łatwiejsze. Jeżeli jednak kobieta nie ma wyżej wymienionych zalet, niech lepiej da spokój z pracą zawodową. Przy braku rozkładu i pracowitości dom musi stać się wkrótce podobnym do zaniedbanego zajazdu, w którym mąż i dzieci będą podobni do błakających się bez celu gości. I dzieci. Tak i dzieci. Bo niech to panią Jacuńską nie dziwi, nie mąż jest w tym wypadku najważniejszym szczegółem, lecz właśnie owe „szczególiki.”

Pani Jacuńska w swym artykule uwzględniła tylko kobiety szczęśliwe w małżeństwie. I z różowym optymizmem twierdzi, że jest ich tak dużo.

Niestety, mam wrażenie, że takie naprawdę szczęśliwe małżeństwa, to białe kruki, i te, o ile się zdarzają, dadzą sobie wyśmienitą radę w życiu bez naszych nad nimi dyskusyj.

Ów zapomniany szczegół, mąż, ma swoją pracę zawodową, która zajmuje mu dzień cały, zostawiając mu niektóre tylko godziny dnia wolne. Kobieta pracująca ma te same wolne godziny (chyba, że jest aktorką i pracuje wieczorami). Są więc razem w wolnych godzinach i w niedzielę — która już obecnie jest nie tylko „dla małżonki”, jak pisał ongi Boy, ale i „dla małżonka.

Zupełnie jest inaczej z dziećmi. One, szczególnie w wieku przedszkolnym, są w domu zawsze i potrzebują opieki i wychowania matki. Dobrze, jeżeli ktoś z rodziny, matka, siostra, zdoła ją zastąpić w czasie nieobecności, ale inaczej? — pozostają niańki! Niestety wiemy, o jakim poziomie intelektualnym i moralnym! Są jeszcze ogródki freblowskie i szkółki.

I te, mojem zdaniem, znacznie się do rozwiązania tej „kwadratury koła” przyczynią. Godzę się w tym wypadku najzupełniej ze zdaniem pani Jacuńskiej, że społeczeństwo musi przyjść z pomocą matkom pracującym zawodowo, w pierwszym rzędzie musi dążyć do zakładania wzorowych ogródków, domów Montessori i t. d.

Głęboka przebudowa stosunków społecznych i ekonomicznych idzie w kierunku demokratyzacji społeczeństwa oraz wyrobienia pokolenia, które w zdemokratyzowanym społeczeństwie przedstawiałoby jedyny walor bezwzględny, mianowicie wartość pracy.

To więc pokolenie, które chowamy obecnie, musi być przede wszystkim wychowane surowo, musi być wychowane na dzielnych pracowników.

I dlatego nie obawiam się twierdzić, że będzie dla niego nawet z korzyścią, jeżeli wychowanie przedszkolne poza domowe, w ogródkach i freblówkach, wejdzie u nas w zwyczaj, więcej niż dotychczas.

Tyle o „szczególikach”.

Wracając jednak do tego, co powiedziałam poprzednio, dodam: praca zawodowa kobiety jest w naszym społeczeństwie nabytkiem bezwzględnie nowym, dlatego formy jej jeszcze się nie utarły.

Te kobiety, które zawodowo pracują, szczególnie w zawodach wolnych, są poniekąd pionierkami. Muszą też mieć zalety pionierek. Żelazną wolę i energję, konsekwencję i pracowitość.

Miejmy jednak nadzieję, że dzięki temu wyrośnie w naszym społeczeństwie grupa kobiet pełnych wartości, silnie zwarta, mająca więcej, niż dotąd głosu i wpływu na losy i rozwój narodu.

Zofja Łosiowa.



MATEMATYKA JAKO CZYNNIK WYCHOWAWCZY



adaniem szkoły jest kształcić wszechstronnie młodzież. Każdy przedmiot nauki ma więc nietylko rozwijać umysł, rozszerzać zasób wiadomości, wyrabiać sprawność życiową i przysporzyć do pożytecznej pracy, ale także wpływać na stronę moralną, urobić charakter.

Że takie przedmioty nauki, jak religia, literatura, historia, mają duży wpływ na rozwój charakteru, tego chyba nikt nie kwestionuje. Ale czy mają go wszystkie przedmioty szkolne? Czy ma go także taki — zdawałoby się — oderwany od życia przedmiot, jak matematyka?

Przyпускаjąc, że co najmniej 90 proc. ludzi odpowiedziałoby na to pytanie negatywnie.

A jednak ośmielam się twierdzić, że żadna nauka nie oddziałuje wychowawczo tak silnie, tak skutecznie, tak bezpośrednio, jak właśnie matematyka.

Już widzę protesty rozgorączkonych rodziców, których synom lub córkom grozi dwu-za tego przedmiotu, a u mniej zainteresowanych wymowne zdziwienie.

Jakto? Ten przedmiot abstrakcyjny, suchy, nudny, nie mający żadnego związku z życiem realnym, miałby działać na charakter? Bardzo wielu ludzi nietylko nie spostrzega wpływu wychowawczego matematyki, ale wogóle nie docenia celu i pożytku tej nauki. Skąd to pochodzi.

Składa się na to cały szereg przyczyn: wady programu, zła metoda uczenia, przepełnienie w klasach, a w dużej mierze także tradycyjne uprzedzenia do tego przedmiotu i — co za tem idzie — nieodpowiednie ustosunkowanie się do niego nietylko uczniów, ale całego ich otoczenia. Z pokolenia na pokolenie idzie sugestia, że matematyka — to plaga, zmora, maulum necessarium, które trzeba jakoś zbyć, obejść, byleby się wykrecić.

Przy takim nastroju nie może być mowy ani o zapale, ani nawet o zwykłym przykładaniu się do przedmiotu.

Zapatrywania na cel tej nauki należą do najbardziej dziwnych: od skrajnie abstrakcyjnych do naj-

bardziej praktycznych. Jedni uważają ją za gimnastykę mózgu, a więc za pewien rodzaj sportu umysłowego. Inni znowu sądzą, że ma ona za zadanie przygotować i wyćwiczyć w rachunkach, które w życiu praktycznym mogą być przydatne. A wskutek tego ostro krytykują i sarkają na takie — wedle ich zdania niepotrzebne subtelnosci, jak trygonometria, analityka, różniczki, funkcje i t. p.

Tymczasem nauka ta, jak każda inna, ma za zadanie rozwijać umysł i kształcić charakter — i mogłaby w odpowiednich warunkach osiągnąć ten cel o wiele łatwiej i pewniej, niż każdy inny przedmiot nauki.

Rozwój umysłu — to jest przede wszystkim rozwój naszej zdolności do sądzenia. Któraż nauka bardziej do tego przysposabia, niż matematyka? Trafność sądów zależna jest w pierwszym rzędzie od doskonałej znajomości pojęć, od biegłości w ścisłym definiowaniu i porównywaniu terminów. Cóż więcej sprzyja wyćwiczeniu się pod tym względem, jak matematyczna ścisłość, jednoznaczność i lakoniczność określeń, jak bajeczna krótkość i przejrzystość znaków?

Z pojęć, których krótkimi symbolami matematycznymi są liczby jednomiany, wielomiany, potęgi, punkty, linje, wieloboki, bryły — powstają sądy, ujęte w nadzwyczaj przejrzyste formy równości. Ta wspaniała symbolistyka nietylko zapobiega błędom i pomyłkom, ale nadzwyczajnie rozwija sprawność i pomysłowość, pozwala się w mig orjentować, oszczędza czas i energię umysłową.

Zwykły nasz sposób wyrażania się w mowie i piśmie obfitością słów i wieloznacznością terminów przesłania często znaczenie pojęć i sens sądów.

Z tego powodu powstają tak często błędne wnioski, fałszywe teorie, nieporozumienia, spory i walki.

Matematyczny sposób znakowania pozwala w sposób łatwy i pewny wyrazić i odczytać najzawilsze myśli, wyciągnąć najsztudniejże wnioski. A jeśli błąd zostanie popełniony, ułatwia niesłychanie prędkie i niezawodne odszukanie go.

Cała nauka matematyki jest więc ciąglem ćwiczeniem się w definiowaniu, w formułowaniu sądów i wnioskowaniu. A jeśli zważymy, że powodzenie w tej pracy choćby ona była najelementarniejszą, zależy w wyższym stopniu, niż każda inna, nietylko od ciągłości i wytrwałości, nietylko od skupienia uwagi, ale także od stałej i wzorowej formy zewnętrznej — to łatwo się do myślimy, jak cenne usługi przedmiot ten oddać może w ogólnym rozwoju umysłu młodzieży.

Bo nie zapominajmy i o tem, że „*consuetudo est altera natura*“, że pewne nawyki psychiczne stają się z czasem stałą cechą naszego umysłu, że więc ścisłość, zdobyta w matematyce, przenieść się musi automatycznie i do innych dziedzin myślenia, a nawet do postępowania w życiu praktycznym, codziennym.

I oto dochodzę do wniosków ostatecznych. Dusza ludzka jest kompleksem jednolitym. Właściwości umysłu nie mogą pozostać bez wpływu na cechy charakteru. Kto nawyknie do ścisłości w myśleniu, będzie także ścisły w słowach i postępowaniu — a więc będzie prawdomówny, punktualny, słowny i uczciwy. Bystrość i rzutkość nie pozostają bez wpływu na zaradność i orjentowanie się w życiu. A pewność sądów i przekonań matematycznych, niewzruszoność prac i niezawodność wzorów, poczucie, że tylko pracą i własną energią osiągnąć można pożądane rezultaty — rodzą najpiękniejsze z cnót duszy ludzkiej: ukochanie prawdy, zamiłowanie do pracy, ufność we własne siły i odwagę.

Stwierdzam to niemal na każdym kroku. Konstatuję niezmiennie na uczniach w szkole, na ludziach dorosłych w życiu. Ile razy zdarza mi się zetknąć — w dyskusji czy w pracy — z ludźmi, na których kultura tej nauki zostawiła widoczne ślady — zawsze stwierdzam to samo: ściśle w słowach, dokładnie w pracy, uczciwie w postępowaniu. Cechy te są tak charakterystyczne, że zawsze wiem z góry, z kim mam do czynienia — i prawie nigdy się nie zawodzę.

Gdy nauka matematyki tak pięknie wydawać powinna owoce, to czemu wytłumaczyć, że tych błogich skutków prawie wcale nie spostrzegamy, choć każdy przeciętnie

wykształcony człowiek naukę tę obowiązkowo przechodzi.

Odpowiedź łatwa: trzeba zmienić program, zmienić metodę — a nade wszystko trzeba zmienić stosunek do tej nauki!

Trzeba, aby rodzice i opiekunowie młodzieży nareszcie zrozumieli,

że ciągle narzekanie na matematykę jest nie tylko niesłuszne, ale w wysokim stopniu szkodliwe. Wynikające stąd lekceważenie przedmiotu, brak zainteresowania i ciągłości w pracy — są główną przyczyną trudności, jakie przedmiot ten młodzieży nastęrcza i w du

żej mierza udaremniają osiągnięcie należytych rezultatów. Nauka matematyki wymaga szczególnej opieki domowej: systematyczność, ciągłość i wytrwałość w pracy, należyta forma zewnętrzna ćwiczeń tu więcej niż gdziekolwiek, decyduje o całkowitem powodzeniu. K. S.

W ŚWIĄTYNI DOBRA

Po zwiedzeniu ostoj T-wa opieki nad ociemniałymi przy ul. Polnej Nr 40



ą miejsca, do których wchodzi się z głową pochyloną, jak do kościoła i silnym, wewnętrznym skupieniem. Główną byle jakie myśli.

Jedna zostaje — nie urazić świętych ludzi, którzy służą kościołowi.

A są kościoły tu na ziemi...

Od człowieka Chrystusowego usłyszałam o pracy w domu dla ociemniałych. Schronił się cichutko na odległej ulicy. Prawie nie wie się o nim. Światowa, grzmiąca dobroczynność rozstawiłaby dzieło jego na cały kraj. Ale — prowadzą je ludzie nie z tego świata, choć korzeniami trudu swego mocno w twardą, ziemską glebę wrosnęli.

Nic tam nie mówi o mistycznym porwywie. Wejście jak do przeciętnego mieszkania.

Czemu nie gmach własny ze strzelającą do nieba wieżycą i tajemniczymi witrażami w wewnętrznej kaplicy? Ze sklepieniem długich korytarzy, prowadzących do warsztatów tych, którzy uczą się żyć z kalectwem swoim, żeby nie być nikomu ciężarem i uczą się żyć — w myśl św. Franciszka, patrona ociemniałych — radością życia po za zmysłem wzroku. Uczą się żyć tem wewnętrznym postrzeganiem ludzi, stworzeń, przyrody — tem potężnym skupieniem całego jestestwa w miłości świata, miłości Boga i ekstazie wiary, jaką daje modlitwa ducha.

A może i lepiej, że taki prosty, tak bardzo w wyrazie swym zwykły jest ten Dom ociemniałych, bo tem większy podziw budzi świętość, która tchnie ze ścian, wchodzących w podwórze jakiegoś kilkopiętrowego domu, czyjejs świeckiej własności — gdzie przewala się wichura dobrego i złego, narodzin i śmierci, rozpacz i radości, cnoty i występku. Przewala się, gna, pędzi,

krzyczy, płacze, klnie, raduje się, grzmi huraganem nieuchwytniej treści życia — w zewnętrznej swej zjawie.

Może i lepiej. Światłość niewielkiego parterowego mieszkania o drzwiach, oknach, ścianach jak wszędzie — niewiadomymi drogami przenika tam, gdzie kłębia się złe żądze i gotują złe czyny. Leczy je, stwarza cud przemiany, jak leczy i stwarza cud przemiany dotknięcie świętej ręki.

Zapraǳełam widzieć się z twórczynią i organizatorką Towarzystwa Opieki nad ociemniałymi, chcąc skreślić sylwetkę jej, jak się kreśli sylwetki „naszych zasłużonych“.

Wielebna matka Czacka w dniu moich odwiedzin tylko co wróciła z Lasek — dużej kolonii dla ociemniałych, gdzie powstały już trzy domy z ogrodami, z działkami dla uprawy gruntu, z warsztatami do nauki i pracy.

Była bardzo zmęczona. Jednak przyjęła mnie. Ale w chwili jej nadejścia umilkła ciekawość dziennikarska, skryły się, zapadły w głębiach onieśmienia — jak przed świętą tajemnicą — zwykłe metody badania. Mogłam zdobyć tylko to, co zechciała dać mi sama wielebna Przełożona Zakładu.

Wnętrza ludzi zaświatowych — jasne, słoneczne — są jak cud wody, zamienionej w wino — niedostępne dla wzroku, całą siłą wgrążonego w zjawę konkretną.

Wielebna Matka z niesłychaną prostotą i czarem głosu młodego, ze spojrzeniem oczu, które — nie widząc — patrzy w głąb źrenic widzących, rzuciła mi parę słów o sobie.

Pochodzi z Kresów. Uczyla się, pracowała umysłowo niegdyś bardzo wiele. Za wiele, jak na wzrok od urodzenia słabutki. Aż — mając lat 22 — zaniewidziała zupełnie, a doktor Gepner, dziś już nie żyjący,

który ją leczył, nie robiąc najsłabszej nadziei, — pierwszy naprowadził ją na drogę zajęcia się losem sióstr i braci ociemniałych.

Nie przestała być mu wdzięczną po dzień dzisiejszy za tę serdeczną pobudkę. Młoda, drobna twarzyczka tej pięćdziesięcioletniej, bardzo schorowanej kobiety, której nikt nie dałby więcej ponad lat dwadzieścia pięć, opromienia się radością, gdy o tem wspomina. Uroczy uśmiech rozchyła usta, odsłaniając rząd lśniących, białych zębów.

Zaczęła żyć naprawdę dopiero zaniewidziawszy, bo wtedy zerwała ze światem zabaw, salonów, z całym tym wirem towarzyskich obowiązków i konwenansów, do których nigdy nie miała upodobania, a w które z natury stosunków swoich rodzinnych wciągnięta była za młodu.

(Stanął mi w tym momencie żywo przed wyobraźnią dramat Jerzego Hulewicza „Arūna“, wystawiony w Krakowie niedawno, a osnuty dokoła radości życia po oślepieniu, które zwraca ku niedoścignionym dla widzących tajemnikom i głębiom bytu wewnętrznego).

W osiem lat po utracie wzroku ku, nauczyła się Matka Czacka czytać książki dla ociemniałych o wypukłym alfabecie systemu Brajja. Sprowadzano je dla niej na razie z Paryża, a potem przepisywała dla niej jej matka.

Owładnąwszy metodą, sama później uczyła czytać niewidomych na mieście.

W 1910 r. — po dokonanych działach rodzinnych — przystąpiła do założenia T-wa Opieki nad ociemniałymi w Warszawie i odtąd już idzie w tym kierunku prostą, radosną dla siebie drogą.

Wojna zaskoczyła Wielebną Matkę w Żytomierzu, dokąd wyjechała na trzy tygodnie, a przebyć musiała trzy lata. Tam utworzyła Zakon św. Franciszka, służebnic Krzyża, oddanych tylko modlitwie i pracy

nad ociemniałymi. Z tą chwilą wzrosły zastępy sił pomocniczych Oddał się duszą i ciałem zadaniu p. Marylski, syn posła, młodzieniec o pięknej, uduchowionej twarzy ascety, a pełen żywiołowej siły czynu. Pracuje ofiarnie ks. Władysław Kornilowicz, profesor uniwersytetu Lubelskiego. Pracują siostry zakonne.

Zaczął się w 1910 r. od warsztatów koszykarskich dla sześciu dziewczynek w Warszawie. Do chwili wybuchu wojny było ich już 26. Dziś — łącznie z chłopcami — jest 76. Dzieci niewidome przechodzą kurs szkoły powszechnej metodą Brajla — wypukłe mapy, wypukłe litery. Przy ulicy Emilji Plater powstał internat dla 24-ch chłopców (dziewczynki umieszczone na Polnej). Dwóch uczniów kształci się w Seminarjum dla nauczycieli ludowych i zupełnie pomyślnie przechodzą kurs szkolny. Dwóch innych posłano do szkoły dla ociemniałych w Bydgoszczy (dawniej niemieckiej), gdzie prowadzone jest koszykarstwo, szewstwo, tkactwo.

W ostatnich czasach utworzony został Patronat nad ociemniałymi w Warszawie, mający na celu rozciągnięcie opieki nad ociemniałymi na mieście. Objęto nią na razie czterdzieści rodzin, które otrzymują pożywienie oraz wszelką inną możliwą pomoc materjalną i duchową. Przy Patronacie na ulicy Polnej — prócz jadłodajni, która karmi trzydzieści osób przychodnich, urządzona jest biblioteka, złożona z książek o wypukłym alfabecie. Na miejscu istnieje też i kaplica domowa.

Dzięki ofiarności panów: Antoniego Daszewskiego i mecenasa Gliszczyńskiego, którzy na rzecz Towarzystwa Opieki nad ociemniałymi przeznaczyli duże działki ziemi w Laskach niedaleko Warszawy powstała duża kolonja dla niewidomych, wybudowano w lesie trzy domy, gdzie mieści się żłobek dla maleńkich dzieci, warsztaty koszykarskie, szkoła gospodarstwa domowego, schronienie dla staruszek i starców. Jeden z nich półniewidomy — zajmuje się stolarstwem. Inni uczą się zawodów. A reszta — starzy i młodzi — pracują w ogrodzie i w polu. Ziemia jałowa wymaga dużej kultury, ale radzą sobie z nią dobrze instruktorzy i ociemniali pracownicy.

Ze wszystkich stron kraju napływają do Towarzystwa niewidomi. Przeprowadzają ich na ulicę Polną i zostawiają nieraz płatni posłańcy, lub inne osoby, znikające natychmiast. Podrzuca dzieci niewiadomo kto i niewiadomo kiedy? — Zdarza się, że malec nawet kilkoletni — jak zwierzątko — umie tylko pełzać na czworakach i stopniowo dopiero — z wielkim trudem — trzeba go uczyć chodzić, mówić, rozumieć.

Troską nieustanną Matki wielebnej jest, że nie może przygarnąć wszystkich ociemniałych. Polska liczy ich 28000, a zaledwie 250 zdołano otoczyć opieką w zakładach.

Potrzeby Towarzystwa są olbrzymie. Projektuje się przedewszystkiem znaczne rozszerzenie kolonji w Laskach, powiększenie warsztatów i internatów dla uczącej się młodzieży w Warszawie, przysporzenie książek w Bibliotece.

Tu mogłyby okazać pomoc oso-

by, rozporządzające czasem wolnym, a zmuszone bądź z powodu choroby, bądź dla innych przyczyn do przebywania ciągle lub bardzo wiele w domu. Niejedna z nich pragnie ulżyć w jakiś sposób nędzy społecznej, a nie wie, dokąd się zwrócić, niema znikąd wskazówek.

Alfabet metodą Brajla polega na nakłuwaniu liter. Można z łatwością — przy dobrej woli — nauczyć się tego i przepisywać książki, których stale jest za mało, a przy wzrastającej działalności Towarzystwa brak ich będzie coraz większy.

Podjęła już przepisywanie w ten sposób matka jednej z niewidomych uczenic zakładu, p. Hahnowa, jeżeli się nie mylę. Oby śladem jej zechciało pójść jak największej osób, przygwożdżonych do miejsca, a pragnących zając się pożyteczną pracą.

Potrzeb — jak zaznaczyłam — ma Towarzystwo moc niezliczoną, a to, co się robi, jest zaledwie kroplą w morzu.

W maju b. r. odbędzie się na dochód tej organizacji kwesta uliczna i, prawdopodobnie, w zamkniętych lokalach.

Warszawa, zrozumiawszy olbrzymią doniosłość pracy dla tych wykołajeńców, którym należy stworzyć nowe życie, powinna pospieszyć z datkiem — kto ile może — nie ominąć ani jednej kwestarki.

Jeżeli gdzie, to w rękach tych ludzi Chrystusowych, którzy prowadzą Towarzystwo — dalekich od myśli o sobie, oddanych tylko dobrym czynom i obowiązkom, związanym z wiarą głęboką, nie przepadnie ani jeden grosz, wrzucony do puszeki.

C. Walewska

ESTREICHERÓWNA

NIEDZIELA

*A gdy powrócę do domu, smutne jest wszystko i szare.
Czas mi przemija tak cicho. Za wrzawą tęsknią i gwarem.*

*I nic! I siedzę bez ruchu, w punkt jakiś długo wpatrzona,
nie wiem, że niebo oblała zachodu łuna czerwona.*

*Myślę o tobie!... że wrócisz... przyjdiesz... zostaniesz na zawsze...
Za oknem — w słońcu gasnącem — niebo jest coraz to krwawsze.*

*...I śni mi się — jak naprawdę! Niby — sen, niby — tęsknoty...
Jutro zapomnę już o tem. Dziś — nie mam nic do roboty.*

*I w mroku, w pustce i w ciszy, co dookoła się ściele,
czemś przecież trzeba zappełnić śmiertelnie długą niedzielę!*

MARJA JEHANNE - WIELOPOLSKA

BRATERSTWO LUDÓW

(Rzecz o dziele Nieświadomości)

23. NIECH ŚPI SPOKOJNIE KAMIEN PRZYDROŻNY, PAMIĘTAJĄCY NIE TAKIE WOJNY, KTÓRY ZGRUCHOTAŁ BELGIJSKI TANK.

Leżałeś, kamieniu, kamieniem w sadzie, między dziką czereśnią, a strzelistą gruszą, piękną jak marzenie, która jednakże nigdy owoców dać nie chciała. Była jak dzieło sztuki najczystsze, które się nie mnoży, które jest jedno.

Głupcy, owszem, się mnożą.

(Wojna przeorała wściekłym pługiem ludzkość, mimo to głupców dalej cò niemiara...)

Leżałeś, kamieniu, kamieniem w sadzie. Popod ścianą twoją szło mrówcze exodus. Dniami, miesiącami, latami szły te mrówki, z wieczności we wieczność, ciągłym, nieprzerwanym sznurem szklanych paciorków. Nieraz jako dziecko wstawałam w nocy i w długiej koszuli z latarką w ręku, biegłam spojrzeć, czy one i w nocy pielgrzymują, ale czujne ucho mojej guwernantki zawsze moje bosc kroki osłyszało i oburzony dyszkant napędzał z powrotem do łóżka: „Vous êtes folle, Marie?!“

Nie rozwiązałam nigdy tajemnicy.

Za dnia białego jednak, wszystkie wypadki mego dzieciństwa o ciebie się oparły. Ręka moja, która cię gładziła przed laty, rosła powoli z malutkiej, pulchnej, w suchą, dojrzałą dłoń. Za jakich lat milion, czy dziesięć milionów, byłby przyszedł mędrzec i dopatrzyły się śladów na twojej powłoce.

Między zwiewnym profilem zwierzkorzewów, między kolczastym zygzakiem narecznic, skrzypów i widłaków, między skrzydłem pterodaktylusa, podobnym uderzeniu pioruna, między zwartemi kręgami skorpjona, między majaczną szczęką gigantozaura, a pazurem nieświadomego wilkołaka, na tobie wyrytych — dojrzałby on zabawny ślad malutkiej dłoni pięciopalczastej.

Byłby mędrzec obwieścił ziomkom, że w epoce takiej a takiej, była epoka mikrusów: małe człowieczki o kruchych rączkach pięciopalczastych, podobnych liściom zimowitu.

Ziomkowie byliby się ucieszyli — tak mało im potrzeba do uciechy! i zmartwiliby się zapewne — tak mało im potrzeba do zmartwienia! że twarz mikrusa nie została przekazaną tobie, kamieniu, niby chustce weronikowej...

Ale, niczego już nikt tobie nie przekazał!

Z grzmiotem i hukem, wśród przerażającego wstrząsu, wpadł na ciebie potwór dyluwialny — straszniejszy od wszystkich trybolitów i skorpjonów — pełzający w piekielnym zgrzycie, jaszczur niepojęty, warcząco głucho i w drobny pył cię zniekształcił. Śladu nie zostało z ciebie, z wielkich dziejów ludzkości, na tobie spisanych i z równie śmiesznych dziejów moich.

Poszły w niepamięć wojny, któreś zanotował, rodzaje, które na tobie wyrzyły swój profil, smutki moje dziecięce, któreś zamieścił wśród twoich kart twardych, a łaskawych.

Przepadło wszystko! przepadłeś ty! aby być fundamentem innej sprawie.

24. NIECHAJ ŚPI SPOKOJNIE STARY SZPINET PALISANDROWY: MISTERNE PUZDRO NA DUSZE LULLYCH, WTŁOCZONY BRUTALNIE W WEJŚCIE DO BESSARABSKICH SZAŃCÓW, SIATECZKĄ STRUN SWOICH ŁĘKLIWYCH POKRYTY, JAK KOŃ SZLACHETNY SIATECZKĄ ŻYŁ. NIE WYGRAŁ NA TYM SZPINACIE NIKT PIEŚNI O MOJEJ OJCZYŹNIE, A ZNISZCZAŁ ON DLA NIEJ.

Gdzież są te liście akacji i kasztanów, których warstwa głęboka pokrywała ścieżki naszego ogrodu roku zeszłego?

Wiesz, że wszędzie ich pełno.

Trzewiki nasze naniosły je, spylone, sproszkowane, zmielone, do mieszkania. Żyjemy wśród nich. Są na podłodze, na dywanach, na meblach, na ścianach. Reszta zaś jest tam, za drzwiami, po wszyst-

kich kątach świata i po skończeniu świata.

Z nami obcujące liście z drzew. Światów obcowanie.

My także jak drzewa, jesteśmy wieczni.

Od pierwszego wejrzenia, jakim witamy życie, zaczynamy się rozpadać na wiekiste szczątki.

Wejrzeniem, dotykiem, rozpadamy się wolno na miljardy atomów, które są nami, które żyją naszym niezniszczalnym życiem, w przedmiotach, w murach, w krajobrazach przez nas widzianych.

Oto światów obcowanie.

Stąd, kiedy po latach spotykamy przedmiot, dawniej posiadany, kąć dawniej zamieszkały przez nas, krajobraz oglądany, choćby z okien wagonu — drży coś w nas wzruszeniem.

Spotykamy wszakże samych siebie.

I tak, idąc przez to życie, które zdaje się krótkim, przez tę jedną, minimalną fazę bytowania, gubimy się, rozpraszaemy, rozpylamy wokół, impregnując tysiące przedmiotów sobą, aż przychodzi domniemany kres. Wtedy tę resztę, która się nigdy nie wyniszcza, niesiemy w bytowania następne. Rzeczą zaś naszej jaźni jest, czy rozłamując się na bezmiar zjawisk posiadanych, dotykanych i widzianych, nie rozpadnie się ona zbyt totalnie. Wtedy: starość tak zwana przedwczesna, marazm, impotencja duchowa i cielesna.

Świat jest zaludniony bardziej niż sądzimy. Pełno tysiącznych pokoleń wokół. Zrywają się kłótnie rodzinne, swary polityczne, burze religijne, wojny światowe — ludzie szukają przyczyn nadaremno, nadaremno ciskają sobie w twarz grzech inicjatywy. Nic nie tłumaczy podłoża tych drobnych, czy żywiołowych walk. Zarodki przyczyn szukane w nas samych, tkwią najczęściej poza nami — jeżeli cokolwiek egzystuje poza nami, co nami nie jest.

Dawne jakieś rankory wybuchają wśród tych bezmierzy istnień, pozostałych po bezmierzu istnień innych. Śmiesznem się wyda, gdy powiem, że przyczyną wojny światowej mógł być rozcinacz, położony nagle na zapomnianym stoliku. Ktoś, kiedyś, dotknął tego noży-

ka — ktoś inny, kiedyś, dotknął tego stołu — dwie jaźnie zatknęły się z naszą, tą trzecią, z dziesiątą, setną, wibrującą wokół — burza w szklance wody?

Nie

To obcowanie światów.

Śmiesznie małe i nie do pojęcia olbrzymie obcowanie światów.

Tłumaczyć tem można potęgę relikwii, potęgę przedmiotów, dotykanych ręką świątobliwego. Tem tłumaczyć można jad niektórych amuletów, zabójcze działanie niektórych drobiazgów: we wszystkim tkwi jaźń dobra, czy zła.

Wierzę w świętych obcowanie, w światów obcowanie.

Wierzę, że obcować będę z Tobą, za miljardy lat, lecz nie wiem za jakim pośrednictwem. Czy książki dwie zejda się na półce bibliotecznej, które mieliśmy w ręku ty i ja, nie wiedząc o sobie, na dwóch krańcach świata?

Nie wiem, nie wiem.

Pełno nas wszędzie i coraz jest mniej z nas samych w nas samych. Coraz mniej, aż przyjdzie domniemany kres, po którym w innym astralu będziemy się na mirjady cząstek rozpadać i sypać płatki jaźni naszej pod koło pędzącej Wieczności, aby wieczysty brać udział w światów obcowaniu.

II.

Miłość Ojczyzny?

Też się tem ona tłumaczy: teorią obcowania światów.

Urodzony na obczyźnie, cóż dziwnego, że gdy wraca do własnego kraju, choćby nieznanego, uczuje raptem przyływ sentymentu do tej ziemi i czuje się na niej swój? Wokół są mirjady przedmiotów, krajobrazów, drobiazgów, kości, prochów, które dotknęły kiedyś oczy czy ręce przyjaznych jemu, spokrewnionych jemu ongiś istnień.

A powody nagłych „nawróceń“ na wyznania religijne rozmaite, z gruntu nawet obce?

Głośne są legendy o nawróceńniach za pośrednictwem krzyżyka, medaljonika, relikwii, obrazka... Zaciekły żyd Marya Alfons Ratisbonne, staje się nagle, gwałtownie, katolikiem w kościele św Andrzeja della Frate w Rzymie. Przyszedł na pogrzeb przyjaciela i, jak sam powiada „nie mógłby wytłumaczyć, jakim sposobem przeszedł z prawej strony kaplicy do kaplicy lewej i jak się znalazł raptem koronie na klęczkach przed tą kaplicą“...



Kto i kiedy modlił się przed tym samym ołtarzem i zostawił tam siebie, aby w światów obcowaniu, nauczyć swojej fanatycznej wiary Ratisbona?

Śmiesznie małe i nie do pojęcia olbrzymie światów obcowanie...

III.

Taki nasiąkły niewiadomą jaźnią, delikatny, kruchy, przesłiczny w linii szpinet zaciągnięto w okopy. Po co? Struny powyrywane otoczyły go jak rozpuszczone, złote, rzadkie włosy płaczki. Klawisze poobijane, potraskane, poźółkłe, nie pozwalały nawet przypuścić, że płały się kiedyś po nich piękne, smukłe palce kobiece, upierścienione, ukryte do pół w koronkach, że mogły z pod tych żalonych pałeczek płynąć frywolne gawoty, menuety dworskie i melancholijne, tęskne elegje.

Teraz huczą o gładziznę jego wykwintnych ścianek ordynarne przekleństwa, dzwonią o wylękle struny koszarowe dowcipy, a menażki i karabiny rozkładają się po wyblakłym puzderku, gdzie zaczarowane mieszkają dusze Lullych...

Czy to je boli, owe dusze Lullych...?

Towarzystwo powstaje wszakże nowe na szczątkach najkruchszych, może nikt nie grał na tym szpinecie piosnek moich ojczystych, a mimo to, mimo wszystko, zniszczał dla mojej Ojczyzny. (c. d. n.)

W A N D A M I Ł A S Z E W S K A

5

ZATRZYMANY ZEGAR

(powieść)



Była to nieprawda, ponieważ szwalnie urządzone w starej garderobie, na samym końcu domu i terkot maszyn ni komu spokoju nie zamącał. Tam sposobiono calutką wyprawę. Przy długim stole na kozłach, dwie szwaczki, sprowadzone z miasteczka krajały, prasowały i szyły całymi dniami pod światłem kierownictwem pani Józefy Rymuszyny, zwanej ogólnie „ciocią Józją“, choć niczyją ciotką w tym domu nie była. Łączyło ją

jakieś dalekie pokrewieństwo, a bardziej dawna, serdeczna zażyłość z ciotką Eufemją; mieszkała w Klimontowcach, ponieważ mąż jej pracował jako inżynier gdzieś w głębi Rosji, a oboje pragnęli kształcić dzieci w kraju. Miała dwóch synów, z których starszy uczył się w Warszawie, a młodszy, Adaś zbijał baki po polach i na dziedzińcu, korzystając, jak tylko się dało z oświeconych lat swobody.

Ta „ciocia Józja“ była to kobiątka niewielkiego wzrostu, szczupła, podówczas może trzydziesto-kilkolletnia. Zabawny kontrast sta-

nowiła jej sucha, przedwcześnie zestarzała twarz z niezwykle żywym szafirem oczu, patrzących niemal dziecięco. Mówiła śpiewnie, ciągnąc z litewska i czasem — ona jedynie — zdobywała się na odwagę stawienia czoła „ciotce rodu“. Cichym, nieco jęczącym tonem wypowiadała własne zdanie, płacząc przypadki i nieraz bardzo zabawnie przekręcając słowa.

Pomiędzy arbitralną damą, a potulną napozór panią Rymuszyną dochodziło w owych czasach do żywych dyskusyj na temat bliskiego ślubu Emilki.

— Taż powiedz, kochanieńka — zawodziła „ciocia Józia“ pokornym tonem — na cóż tobie takie obiekcje robić? Taż wiadomo, młodzi — to i pokochawszy się, a pokochawszy, to i pobrać się radzi, wiadomo. Taż to żaden dziw, ani zgorszenie... Żeby ot tak, bez ślubu... Ale u nich wszystko po porządku idzie, jak należy... A ty sama niedawno mówiła, Femciu: Emilci pora będzie za mąż iść, lat już dochodzi...

— Ale nie za Janusza. Czy wyście wszyscy powarjowali? Oczu chyba nie macie! Co to za małżeństwo z nich będzie. Ani wiekiem dobrani, bo Janusz smarkacz i świszczyła, ani to dla Emilki stosowna partja, bo Janusz goły, a w dodatku — krewni.

— Taż Femciu, sama ciągle powtarzasz, że po najdłuższym twem życiu Janusz Klimontowce dostanie. A i Emilka swojego przecie ma dość...

— Głupiaś wacpani i koniec! Majątek przepisany na moje imię przez Hipolita. Dam, komu zechcę. Janusz młokos, uczy się u mnie administrować i tyle. A cóż to, śmierci mojej będzie wyczekiwał, żeby się tu z żoneczką rozgościć? wołała zirytowana ciotka, stukając mocniej laską.

— Jak go wydziedziczysz, duszeńko — mitygowała anielskim tonem pani Rymszyna — to pójdą na Emilcine. Albo iż Romaniszek mało? Takie nawet u nich postanowienie jest... Taż co...

Stara dama nie posiadała się ze złości:

— Postanowienie? Właśnie! Powinni to robić, co ja im każę! Powinni słuchać! A ja właśnie Janusza nie puszczę! Niech w Klimontowcach siedzi, a nie — to wydziedziczę! Wydziedziczę! — unosiła się coraz bardziej. — Jutro zaraz testament podrę i Janusz figę zobaczy!

— A, duszko, jak nowy pisać będziesz, nie zapomnij o moich chłopcach... Zawszeć to prawie tak, jak krewni... — śpiewnym akcentem dogadywała ciocia Józia, doprowadzając otyłą damę do pasji.

Z czasem uspokoiła się nieco ciotka Eufemja, pozornie pogodziła z faktami, ale chodziła chmurna, bardziej niż zwykle opryskliwa, szukająca powodu do wydziwiał i krytyki. Włócząc się ustawicznie po całym domu, pokaszlując i sapiąc gniewnie, zaglądała raz po raz do starej garderoby, przypatrywała się robocie szwaczek, kręciła głowę z niezadowolaniem:

— Na co tyle tych łaszków, chciałabym wiedzieć! Czy to Emil-

ka za księcia idzie, że takie wymyślne monogramy na poszewkach stawiacie?

Lub też, unosząc pod światło istne arcydzieło rąk mojej matki, wołała z oburzeniem:

— Co? To ma być koszula? Ta kusajdka? W głowach wam się do reszty poprzewracało! Za moich czasów koszule były pod samą szyję, z mankietami, ze szlarką! Wstydu niema Emilka, jeżeli to dziurawe cudactwo na siebie włoży...

I trzęsąc tłustym podbródkiem, skończyła uroczyście:

— Dawniej panny nie znały, co to madapolam. Wszystko miały z płótna i moralność była lepsza!

Ruszała dalej z godnością, stukając kijem i nawołując Acana, który się gdzieś w stosie gałganików zaplątał. Na progu przystała jeszcze;

— Szyjcie to, szyjcie! Niech paraduje pani dziedziczka na swoich Romaniszkach w takiej bieliznie! Niech gorszy czeladź!

— Ależ, ciociu... Przecież czeladź tego widzieć nie będzie! — protestowała Emilka, która od dłuższej chwili dusiła się wprost ze śmiechu i zakrywała usta obu rękoma, by głośno nie parsknąć.

— Bóg wszystko widzi — surowo odrzekła stara jejmość, mierzając ją groźnym spojrzeniem. — Jesteś nie tylko uparta dziewczyna, ale prócz tego zepsuta do szpiku kości. Oto są skutki nowoczesnego wychowania panien! W głowie pstro, poprzewracało się od tych mądrości, które czerpicie z książek bezbożnych, a wstydu, skromności niewieściej ani za grosz. Ładne pokolenie!

— Biedna ciocia! — szepnęła po jej odejściu Emilka z tak komicznym współczuciem w głosie, że wszyscy, nie wyłączając dwóch szwaczek, zachichotali. — Koszule pod samą szyję i mankiety ze szlarką.. Co za brzydactwo! Boże, dzięki Ci, że żyję w czasach nieco późniejszych, niż te, które wypadły na młodość cioci Femcil!

Nadeszły później chwile, w których Emilka gorąco żałowała nie-

tyle niemodnych szlerek i koszul z grubego płótna, ile właśnie owej ciotki, gderliwej i nieznośnej, ale kochającej ją całą mocą starego serca, jak mało kto inny na świecie...

VIII.

Panna Leonka (nazywa się Mrozowiczówna) powiedziała dziś to proste zdanie, które mi dziwnie utkwilo w pamięci:

— Miałam iść za mąż, ale się rozeszło...

Panna Leonka lubi gawędzić. Przychodzi do mnie zwykle w popołudniowych godzinach, skoro się tylko upora z obiadem u „głuchej, jak pień“ siostry proboszcza. Przychodzi i zawsze mię na wstępie bardzo przeprasza:

— Bo może ja pani przeszkadzam? Pani to pewno tak, z grzeczności mówi, że nie, a ja się narzucam...

— Ależ co znowu! Proszę, niech pani siada.

— Bo widzi pani — dodaje wówczas panna Leonka, sadowiąc się na krześle — tak mi tu jakoś nijako... Ani z kim pogadać, ani co. A jak do pani chociaż na krótko wpadnę, to zaraz cały dzień prędzej schodzi...

I zaczynają się gawędy, a raczej zwierzenia bez końca.

Czem już ta panna Leonka nie miała zamiaru zostać w czasie krótkiego swego żywota! Najpierw — rodzice jej nie byle kto. Majątek pod Wilnem mieli. Chowała się więc na wsi i marzyła, że jak dorosnie, to się do gospodarstwa weźmie, hodowlę drobiu zaprowadzi na dużą skalę, warzywnik. Bo to pod miastem samem, więc o zbyt nie trudno. Ale cóż! Przyszły jakieś powikłania pieniężne, kłopoty — ciężkie czasy, jednym słowem rodzice domek i ziemię sprzedali, przenieśli się do Wilna. Tam ojciec sklep otworzył. Też znowu nie bylejaki: galanteryjny. A ona uczyła się u Nazaretanek. I wtedy właśnie zakonnica chciała zostać. Koniecznie. Rodzicom nie powiedziała ani słowa, ale już ułożyła sobie z jedną siostrą, z siostrą Kordulą, że jak tylko nauki skończy, do nowicjatu „postąpi“. Ech, wywietrzało jej to prędko z głowy. Nie miała i szesnastu lat skończonych, jak wywietrzało doszczętu:

Przyszedł raz młody człowiek do sklepu po spinki (bo i spinki mieli). Akurat siedziała za ladą. Popatrzył na nią, zagadał coś o pogodzie. Odpowiedziała grzecznie i postawiła przed nim pułdelko.

— Niech pani sama wybierze — uśmiechnął się.



— A skądże ja mogę wiedzieć, jakich pan sobie życzy? — spytała zdziwiona, ale zrobiło jej się przyjemnie na sercu.

— Już które panienka uzna za dobre, te wezmę.

Wybrała prędko ładną parę z perłowej masy, czerwieniąc się, jak burak, nie wiedząc czemu. Pomyliła się potem w cenie, powiedziała o połowę taniej i jakoś strasznie niezgrabnie szło jej z zawijaniem paczki. Znow się uśmiechnęła.

— Ja pani pomogę — rzekł. Zmiał papierek byle jak i wsunął do kieszeni.

— No, to tymczasem do widzenia. Dziękuję pani za radę. Czuję, że będę bardzo lubił te spinki.

Uklonił się elegancko i wyszedł. Zaczęła odtąd siadywać w sklepie częściej i coraz dłużej. Aż się rodzice nadziwić nie mogli. Spędzała wszystkie godziny, wolne od lekcji za ladą. Opierała brodę na rękach i patrzyła w okno. Myślała: „Może dziś przyjdzie?...“ a gdy się zbliżał wieczór i zamykano sklep, mówiła sobie: Napewno przyjdzie jutro...

Nie przyszedł nigdy więcej. Może był tylko przejezdnym? Ubranie miał takie porządne, wielkomięskie, w drobnuchną kratkę i oczy śliczne, czarne, jak węgle...

Nie myślała już więcej o klasztorze. Myślała o tem, jakie to byłoby szczęście, gdyby ten nieznamomy znowu się zjawił w sklepie. Po głowie snuło jej się Bóg wie, co. Czytała wówczas mnóstwo powieści — i może dlatego? Wyobrażała sobie, że czeka ją niezwykły, świetny los, jak to się zdarza w powieściach. Może ten młody człowiek miał wielki majątek i nawet tytuł hrabiowski?

— Taka byłam wtedy głupia — zakończyła panna Leonka — Zakoochałam się od jednego spojrzenia, jak jaka gęś...

A potem opisywała dalsze swe dzieje: śmierć rodziców prawie nagłą i prawie jednoczesną... Została zupełnie sama na świecie. Ludzie radzili jej to i owo, jak to ludzie. Ktoś jej zawrócił w głowie, że ma prześliczny głos. Ale gdzie tam i myśleć nawet! Strasznie dużo kosztowałaby ta nauka. Wybrała wreszcie nauczycielstwo. Miała przecież patent z tych sześciu klas.

Sprzedała sklepik, za uzyskane pieniądze skończyła kursy dopełniające dla nauczycieli ludowych. Akurat wystarczyło, zanim dostała pierwszą posadę. Było to trzy lata temu. A potem... Panna Leonka zawałała się. Dokończyła ciszej, a głos jej nieco drżał:

— Potem o mało nie poszłam za mąż. Już byłam po słowie...

Poznali się w Wilnie, podczas wakacyj. Pochodził z ziemiańskiej rodziny, a przyjechał do Wilna dla badania jakichś zabytków. Architekturę kończył właśnie w Warszawie.

Spodobali się sobie odrazu. Chodzili często na spacer, rozmawiali dużo ze sobą. Opowiedziała mu kiedyś całe swoje życie od początku, tak, jak mnie teraz. Nawet o tych spinkach nie zataiła nic... Był taki dobry dla niej, taki serdeczny! To on nazwał ją „Lena“. Dał jej potem pierścionek z turkusem, chciał ją nawet raz pocałować, ale nie mogła przecież pozwolić... Ułożyli sobie, że się pobiorą, jak tylko zda egzaminy i dostanie posadę. Wyjeżdżając prosił, żeby pisała i sam obiecał pisać często. Ma całą pakę listów od niego („Pokażę pani kiedyś“).

A potem... Ech, co tu gadać! Pisywał coraz rzadziej, pod wiosnę już wcale, a wreszcie przyszedł znowu list, ale jaki inny od tamtych! Prosił w nim o przebaczenie i o zwolnienie ze słowa. Pisał, że nie jest jej godzien, że rodzina słysząc nie chce o tem małżeństwie, a on, choć strasznie cierpi, nie może przecież martwić rodziny...

— Et, takie wykręty męskie, proszę pani. Wywietrzało mu z głowy i to całe Wilno i te spacerki i... Więc napisał ten list... Naprawdę, to mi było bardzo smutno może z tydzień, może ze dwa. Jużem się przyzwyczaiła myśleć, że wyjdę za mąż. Długo miałam do niego żal, a i teraz mam. Bo po co było wszystko tak pięknie układać... Tak jakoś...

...Bo po co było... Prawda, moja panno Leonko? Po co właśnie tak? Każda z nas, kobiet osamotnionych nosi i później w sercu jakieś wspomnienie, zaprawne goryczą, jakiś żal głuchy do Iosu, do ludzi, że właśnie tak... Bo po co było roić, snuć jakieś plany, przeżywać w wyobraźni przyszłość promienną i bardzo słodką. Dzień przebudzenia z takiego snu staje się zawsze dniem pokuty za winy niepopelnione. Za to, że się wierzyło przez chwilę, że będzie właśnie tak, że tak być musi.

Panna Leonka jest wcale przystojna, jest przytem żywa, wesoła. Jest młoda. Ja, która czuję się starsza, niż nawet jestem w istocie, widzę ten moment, w którym przysięga piękność i młodość — i wiara we własne siły — a na jej miejsce zaświeci tylko pustka i wzbierze bunt, że się jest pominięta, zepchnięta z gościńca podróżną.

(c. d. n.)

WŁADYSŁAWA JANKOWSKA

Jak się Jasiczek Pazerny na świętego ryktował



Jasiczkiem go zwali wszyscy od najmłodszego chłopca i tak mu zostało, chociaż pięćdziesiątka legła na jego barach. Jasiczek Pazerny nigdy nie był urodziwy, raczej brzydki, z twarzą drapieżną, pooraną bruzdami, drobnymi i suchymi,

do reszty zdziaiał po śmierci żony: rozleniwiał, od roboty odwykł; za to coraz gorliwiej do kościoła zaczął zaglądać. Z posłyszanych kazań, które dziwnie dobrze pamiętał, przytaczał całe ustępy i cytaty z pisma świętego, przemawiając do otoczenia głosem proroczym z odpowiednią, pełną namaszczenia mimiką. Na ogół niezłe się działo

Pazernemu, w chałupie swojej był gościem, przez lato żył na hali, a w zimie chodził po sąsiadach, ważnym się czynił i kazania im prawil „Kiedy ten jegomość na ambonie, całkiem go naśladuje, tylko przez nos gada, a palcem przygraża“, — mawiały ze śmiechem dziewczuchy, dla których był największym moralizatorem.

Wreszcie trafiła kosa na kamień i Jasiczek po pięciu latach zbożnego wdowieństwa ożenił się z Hanką Skoruszczanką, młodą, urodziwą dziewczuchą, pracowitą i mocną w języku. Ostrzegali przed nią Jasiczka, że była zmówiona z Jędrkiem, co przed dwoma laty pojechał do Ameryki. Pazerny jednak na takie głupstwa nie zważał, z góry patrzył na chłopów, co sobie nie umieli z kobietami poradzic.

Jako się Jasiczek ożenił, tak się i odmienił, przez cały tydzień siedział w chałupie, ale dłużej nie wytrzymał.

— Coby się jeno całkiem ociepliło, toby cłek statek pognał na halom. Tamci je wolność seliniejaka, a cóż osłamszego, jako ze sieuść pod Ulagórom i hań z góry spoz'erać a rozmyślać nad marnościami świata. Owce ci się pasą, a ty się chłopie grzejesz, a spoczywasz, świat cały leci, aż kasi pod Babią górę. Coze tu we wsi? Kłopot i jeno cłeka do grzychu kusi, młoda baba to i rozżarta na robotę, nic ci nie sfolguje, goni od świtu do nocy, ba, zdarbyś się, cłece, wnetki, na te stare miętliśko... Ja ta do takiego, tryjontu nie nawykł, po cos mi ta tego... Temuk sie ożynił, bobyk sie nie tropił... Sam se pódę ku halom haniok Boga kwolić.

Tak sobie Jasiczek Pazerny przychwalał i po staremu zaczął zachodzić do chałup, a w kościele wysiadywać, z kościelnym bardzo się zaprzyjaźnił, nawet w zakrystji sprzątać mu pomagał rad, że go ludzie widzą w takim honorze. Minął tydzień i drugi, Hanka milczała wreszcie wzięła się do niego ostro:

— Jasiiek, a jakoż to będzie — aboś chłop i gazda — albo staro plotkula, co po hałupach ozorem omiela — ja za tobie nie posła po to, coby cie obrabiać... Powiem ci co tylko musi być na miejscu, samem modleniem nie wyzyjes i Panu Bogu obmieźniesz, a hlyb w torbie... albo przeonac, aby ja ci poradzem i przyłożem tak, co ci ani twój kamrat kościelny nie odejmie.

Aż poczerwieniła ze złości i byłaby się rozpłakała, ale Jasiczek stanął przed nią z podniesioną głową, oczy utkwiał w pułap i rzekł uroczyście:

— Święci pańscy wiencyl cierpieli to i ja cłek grzyszny ten krzyż znieś, ino cie, niewiasto, przestrzegom! nie gębuj, bo nie wis, kogo mos!.. wielu powołanych, a mało wybranych!

Hana zgłupiała i ścichła: abo nie przy dobrym rozumie, abo sie ino kazaniem zasłania... cosik w tem jest — medytowała.

A Jasiczek jakim był, takim został: Na wszystkie zarzuty odpowiadał biblijnymi sentencjami, a najulubieńsze, przeznaczone dla Hany były słowa: „Błogosławieni cisi“... I wznosił oczy w górę, a drzwi pilnował, żeby być w ich pobliżu.

— Piekielnica baba jest, — mówił z niewinną, umęczoną twarzą — tera i to przecierpieć, za dawne grzychy cłek tutaj czyścić odbędzie.

— Bajtoś, co tys opowiadacie, jako je, to je, prawdę ma, bo za was twardo robi — przygadywali sąsiedzi, czego znów Jasiczek bardzo nie lubiał.

Niegeze ta, coze sńiom wywiede jenszego, kazda baba ma złego za plecami, coby spowiedliwego kusił, musi ona gadać, coby złość wyonaczyć — prawil zwolna i tak się ociągał z wyjściem, póki miski nie uwidział na ławie.

A dni cudne, wiosenne szły, pozienieniały łąki, zapachniały lasy. A Jasiiek żył bez troski, jako ptak polny o nic nie dbał, po blizkich odpustach gromadę wodził, pieśni im śpiewał, a drogą kazania mawiał, tak wielce mądrze, że ich nikt dobrze nie rozumiał. W chałupie dla spokoju robotę zepchnął, bo się bardzo „przedzierać“ nie lubiał i czekał wieczoru, iżby klęknąć przed łókiem, ponad którym pstrym rzędem wisały obrazy świętych. Tu zaczynał głośne modlitwy za wszystkich zatwardziałych grzeszników, w piersi się bił, aż dudniło, a ukradkiem po izbie się rozglądał, czy Hana na niego patrzy.

Hana aż trzęsło z gniewu, ręce świerzbiała chwycić garnek z wrzątkiem i na głowę chłopu wylać. Kiedy Jasiczek z klęczek powstawał, dawała upust złości. Ale on jakby ogłuchł, ani na Hankę nie spojrział, jeno wznosił oczy w górę.

— Powiedzianem jest, co wszystko na świecie marnością! — Ale Hana już nie słuchała, trzasnęła drzwiami i poszła się wyżalić do sąsiadów.



Oboje odetchnęli, kiedy na hale wyganiano ze wsi statek. Jasiczek aż odmłodział i jeden z pierwszych stanął na miejscu z owcami.

Wiosna już się na dobre ustaliła, lasy pozienieniały, łąki pokryły gęstym kwiatem, gdzie jeno jaki potok, to gnał z szumem przed siebie, radość przedziwną, młoda szalała w powietrzu i na ziemi. Na Gąsienicowej hali zawrzało życie: od głosów, nawoływań, przeciągłych wyskań dziewczuch, zbyrczenia dzwonek, aż dudniło, od szumu i trzasku zdało się, że posępne lasy poweselały, a oszalałą radość rozniósł wiatr po świecie dalekim.

Jasiiek cieszył się po swojemu, nie dzieląc się szczęściem swoim z nikim, owce wypędzał po za kopę królowej na zielone upłazy, a sam pod skałką się rozkładał i zapadał w bezmyślną zadumę, z której go budziły czyjeś głosy, nawoływania i psów szczekanie. Przecierał oczy, siadał i rozglądał się dookoła.

...Godnie mi się tys to we słoneczku zdrzymłó, hej piękny ten świat i wielgi... mrucał do siebie... a co kajsi musi być pod kamieniami zbójnickich dutków, tak ich se naleść, zaraz bych kazał kościół postawić ku kwale boży... rozmyślał chytrze i patrzył w jasny błękit pytająco.

Słońce podnosiło się w górę, od skał biły złociste blaski, grało powietrze, trawy tysiącem brzęków, śnień, a po głowie Jasiczka snuły się myśli górne.

...Któż to wi, cy hań, na wysokości nie wybrali mnie na świętego? Trza mi się cheba sposobić, moze jako świętego lzydcra oraca głos do mnie z za chmury doleci na znak cudu...

I tak się zadumał, że ani widział, jak południe się zbliża. Aż pies zaczął naszczekiwać, dopiero się opamiętał i pognał owce na dół ku szafasom. Z góry, z należytą powagą spozierał na innych juhasów i na samego bacę, śmiejącego się z byle czego i „leda czego wyklinającego, aż powietrze gęstniało“.

Wojtek Jama, sławny przekpiwacz, od chwili spoglądał na Pazernego i huczał śmiechem, że omal dojonego mleka ze skopca nie wylał, tak go cieszyła odęta, namarszczona gęba starego.

— Pożrzyjcie ino: mało brakowało, a byłby się Jasiczek za życia do nieba dostał, ino co południe zaszło, a on se o kluskach wspominał i truchcikiem kaw przeleciał, — Wszyscy gruchnęli śmiechem, aż ich baba umiarkować musiał.

Nie spojrzął na nich Jasiczek, ale do Wojtka przemówił krótko.

— Ty pijes, a ja Pana Boga kwalem, a wiadomo: fto pije—głupim jest! — A w duchu ofiarował te śmiechy i kpiny za swoje grzechy, choć aż spluwał ze złości przecież wiedział, że mają mają ustrzelonego kozła i sami go po cichu jedzą, a jego nie poczęstują. Westchnął ciężko i wraz „złe“ myśli od siebie odegnał.. Grzech wszędy kusi, jako baba w domu, ale on, Jasiczek nie dał się uwieść, albowiem kto żyje w czystości — mocen jest!..

Zakrzyczał na psa, by owce zegnał i poszedł naprzód pod żółtą turnię, żeby w samotności skrzepić ducha i snadniej zwalczać pokusy. Wiele jednak o modlitwie nie myślał: to spojrzął na poszarpane granie, to przezysty błękit nieba, to kanię ujrzał, kręcącą się ponad kosodrzewiną i wnet mu się przypomniały młode lata.

...Spokoju nie mam, „złe“ kole mnie kołuje, ponoć wedle świętych najbarz się zjadliwie kręca... pocieszał się Jasiczek. Ukląknawszy, ręce rozłożył i pilnie się rozglądał wokoło, czy nie uwidzi jakiego znaku, któryby był podobny do cudu. Nigdzie nic. Gile gwizdzą, odzywają się świstaki, zhyrczą dzwonki, las szumi uroczyście, spodem potok wyśpiewuje weselne



pieśni, muchy brzęczą, a po jasnym niebie przeciągają przejrzyste smugi. Cicho wokoło, owce szczypią trawę, co jedna to przystanie i wpatrzy się w Jasiczka.

...Fto wi, czy na mnie czego nie widzą, może kolisko złote nade głową...

I znów goręcej bił w piersi i pacierz za pacierzem odmawiał. Nagle posypały się kamienie, zatrzeszczała kosówka. Jasiczek aż stwardniał od sprawiedliwego gniewu. Z poza gałęzi kosówki wyjrzała roześmiana twarz chłopczyska z szałas bratowej, a śmiech jego głośnym echem rozleciał się po dolinie.

Rozeźlony Pazerny wracał pod wieczór do wspólnego szałas, gdzie już zastał kilku szalaśników. Na jego widok zmilkli, ten i ów łypnął okiem na baczę niby pilnie zajętego fajką. Chwilę słyhać było jeno trzask smolnych berwion, syk płomienia, bulgotanie fajek i ostre cykanie śliny. (c. d. n.)

MARJA DĄBROWSKA

(sylwetka literacka)

„Oto są moje małe słowa o krzywdzie. To nie jest gniew i głos ludu. To jest niewinny głos pszenicy. Czemże go zagłuszycie? Łoskotem jakiej przemocy? Zawsze kiedyś nastąpi chwila ciszy i wtedy usłyszysz mnie ludzie. Usłyszysz głos Boga, szumiący w moich kłosach“

(Gałąź czereśni—Marja Dąbrowska)

Dziwnymi nieraz drogami życie prowadzi człowieka do sztuki, albo też od niej odrywa. Nie każdemu już w zaraniu młodości iskra Boża tak rozpłomieni ducha, że urzeczony iść za nią musi jak owe dzieci z bajki staroniemieckiej, co poszły za czarodziejem flecistą. Współczesne życie wczesnie dławi młodą duszę kleszczami sceptycyzmu: Zamiaszt natchnienia, wbija na rozdrożu ideałów inny drogowskaz: mus. Czasem też poprostu ściiera, rozproszkowie, wymienia na drobne i rozprasza w codziennej, odmierzzonej dozami ekspansji to, co dojrzałe w skupieniu, skodensowane w napięciu, zabezpieczone od powszedniego zarobkowego wypompowywania, trysnąłoby mogło kiedyś z podziemną siłą wulkanicznej eru-

pcji. Mówimy wówczas o takiej indywidualności, podejrzanej, o talent, że się marnuje. A marnowanie się to może być dwojakie. Albo przez niewłaściwą pracę, która wyjaławia, a zatem zuboża, albo przez duchowe lenistwo, które, nie nasycając, przesycą, wypełnia bez reszty, a zatem wyklucza wszystkie możliwości, przecina, albo hamuje na dłużej rozwojową drogę twórczości.

Spójrzmy na bohemę paryską w nieśmiertelnej kawiarni Rotendy, uchwyconą migawkowo, choć nie bez satyrycznego ujęcia w powieści Michel-a „Les Montparnas“ Rzućmy okiem choćby na naszą „Małą Ziemiańską“ tę bohemę w minjaturze, przyprawianą „a la juive“. I tu i tam, choć w innej nieco skali, odnajdziemy to samo zjawisko: paru twórców rzetelnych, których skryzalizowana, względnie dojrzała indywidualność opiera się mniej lub więcej szczęśliwie rozkładowej atmosferze kawiarni, i legion cały symulantów talentu, albo chorowitych neurasteników sztuki, którym czasem udaje się ludzi świat, ale częściej samych siebie. Te pół czarnej i nieskończona ilość wypalonych papierosów i przegranych

godzin może starczyć za wysilek twórczy, za męskie, świadome pogłębianie siebie.

Nie można powiedzieć żeby Marja Dąbrowska, laureatka tegoroczna konkursu wydawców, znana także Czytelniczkom „Bluszczu“ ze śmiałych, z szerokim rozmachem kreślonych nowel, marnowała się aż do wydania „Uśmiechu Dzieciństwa“. Nie mamy prawa do takiej definicji, bo to, co nam dała przedtem i daje teraz w dziedzinie spółdzielczości i nauki o Polsce, broszury popularne, stojące na granicy dydaktyki i sztuki stosowanej, jej „Dzieci Ojczyzny“, „Gałąź czereśni“, nawet zgoła pierwiastka beletry styczniowego pobawiona „Codzienna Praca“ są to rzeczy niemal klasyczne w ujęciu, jako typ literatury propagandowej, nieznacznie, a jednak autokratycznie zagarniającej pod swoją władzę umysł czytelnika. Przy celowym bezwzględności ubóstwie środków, klasztornej nieomal prostocie i sumiennosci pracy, coś apostołskiego wieje z tych kartek, przeznaczonych dla prostaczków i maluczkich tego świata. Potężny duch Edwarda Abramowskiego, ulubionego mistrza całego pokolenia ideowców, musi się nad temi

słowami, pałającymi wielkim pożarem duszy ludzkiej, która jedyna wśród stworzenia świadomie potrafi kochać przyszłość¹⁾.

Urodziły się one z wielkiego umiłowania pracy, z wiary w człowieka i z gorącego kultu życia, które zapładnia i oczyszcza.

„Dobra, rzetelna praca, jest jak miłość. Wystarcza sama sobie. Praca twórcza jest niemożliwa bez udziału naszego uczucia.“ „Zgnilizna szerzy się tam, gdzie niema ruchu, gdzie woda stoi. Bystre rzeki porywają wszelki brud i przecierają go w swoim nurcie na czysty kryształ“²⁾

Oto kilka myśli, wyrwanych na chybił trafił ze skromnej rozmiarami, ale bogatej w treść broszury. Takimi to kamykami, wśród których napotkać można prawdziwe klejnoty, brukowana jest ta drożyna do ogólnej szczęśliwości.

Nawet bardzo wybredny czytelnik, głuchy na skomplikowany mechanizm kinogenetycznych efektów współczesnej literatury nie może się oprzeć swoistemu wzruszeniu, jakie ogarnia go nie od zewnątrz, drogą pobudliwości naskórka, ale od wewnątrz, tajemnymi drganiem węzłów sympatycznych, przy czytaniu „Gałęzi czereśni“³⁾

Podobnie jak bohater jednego z opowiadań, Janek Rudzik, i my odkrywamy tajemnicę spółdziałania, co trzyma na uwięzi złość, utajoną w naszym sercu — aż ją na zawsze umorzy.

Takie książeczki, jak „Gałąź czereśni“, „Codzienna praca“, wreszcie „Dzieci Ojczyzny“⁴⁾ z drobnymi zastrzeżeniami (wizyta biskupa w więzieniu w „Gałęzi czereśni“, która nie dość wyraźnie tłumaczy intencje autorki, może być źle rozumiana przez czytelników, a co ważniejsza załamuje niemałym zgrzytem zasadniczy ten utwór) powinny się znaleźć w każdym domu polskim, w rękach młodzieży szkolnej, aby ją uczyć zdrowej demokracji, szczepić zamiłowanie pracy kolektywnej i spółdzielczości, rozwijając zawsze głębokie poczucie nierozdzielnych wartości ducha narodowego.

W tych wszystkich jednak pracach, jakkolwiek szanownych, i pełnych obywatelskiej zasługi, artystyczny instynkt Dąbrowskiej chodził w jarzmie, służył, był naginany do zadań, z którymi wprawdzie nie stał w sprzeczności, ale które jego szeroki oddech dławili, a naturalny rozpęd hamowały.

Dopiero w „Uśmiechu dzieciństwa“⁵⁾ uroczej legendzie o zakopanych skarbach rodzinnego domu,

przyszły do głosu, wydobyły się na jaw te nurty, które dotychczas, świadomie zasypywane, podziemne, huczały.

Tu dopiero mówią do nas „hycynty zimne i białe jak ostatni śnieg“, dzwoni lotos, jak lot dzwoniących skier, „mnogość kroków szeleści, jak raki w koszu“, „wiatr wysypuje się, sycząc, z za węgla“, „na wnętrzu krzewów słońce rozwiesza wszędzie latarki złote, różowe i zielone“ „głęb ulic jest niby miód czarna“, „szare kraty“ są „miękkie od starości jak biskop“ i uśmiecha się oczom „wąty ścieg wschodzącej trawy“.

(c. d. n)

NA MARGINESACH ŻYCIA

Kometa Orkiszal

Kłóćcie się zapalczywie z duńczykami, francuzami, niemcami... o narodowość astronoma. A czy zainteresowała się prasa polska, czy zatroszczyło się społeczeństwo trudami uczonych, którzy na onej Łysinie wzniesli przed paru laty skromną stację astronomiczną? Czy dano im jakąkolwiek pomoc w zrealizowaniu upragnionego przez nich Polskiego Obserwatorium.

Nie! Zaprawdę nie!

Nie było o tem mowy na dancingach!

Nie było o tem mowy w klubach politycznych, ani na wiecach, gdzie się za oba uszy wodzi głupotę ludzką od lewego do prawego.

Ani nawet — w gabinetach rządowych, czy biurach, gdzie się na aptekarskich wagach rozważa złoto na potrzeby nauki, oświaty, kultury!...

Jest mała książeczka, której zresztą nie czytał nikt i nikt nią nie zaprzętał uwagi publiczności, (wspomniało o niej w roku ubiegłym jedno brukowe pisemko), a która opowiada o tem, jak wzniesiono

w Beskidach ową ubogą Stację, co zdołała już promyczkiem sławy ożłocić czoło Ojczyzny!

Książeczka nosi tytuł „Wyprawa astronomiczna w Beskidy“ Wydana jest nakładem Obserwatorium Krakowskiego w r. 1923, a dochód cały z jej rozprzedaży przeznaczono na Narodowy Instytut Astronomiczny. Z pewnością nierozprzedany leży gdzieś nakład jej w piwnicy, jeżeli nie puszczono go już na makulaturę.

Otóż w tej książeczynie, z codziennych, lakonicznych zapisek urosła historia tego zbiorowego wysiłku kilku ludzi, który umożliwił w trzy lata później odkrycie komety.

Łysina leży, w drodze powietrznej o 33 kilometry od Krakowa, w kierunku południowo-wschodnim.

Ze szczytu Łysiny roztacza się bardzo rozległy widok, jeden z najpiękniejszych w Polsce. Noce są często pogodne, wyiskrzone gwiazdami, wtedy, gdy w dolinach słaniają się mgły, gdy Krakowa od mgieł nie widać.

Komunikacja z nią jest uciążliwa. Jedzie się do stacji Kasina Wielka, poczem na szczyt jest jeszcze 10 kilometrów (3 godziny drogi pieszej).

Tam to, dzięki czynności Zarządu dóbr Pcim, przeniesiono na szczyt góry, drewniany domek myśliwski i taka to była świątynia nauki polskiej.

W czerwcu 1922 r. zaczęła się tam gospodarka i urządzanie Stacji. Największe trudności były natury finansowej: niema czem opłacać robotników! A trzeba wzniesć przede wszystkim odgromnik, by zabezpieczyć się od piorunów, które wałą zazwyczaj w takie odosobnione szczyty, trzeba ustawić wiatromierz, sprowadzić barometry, termometry, wypożyczone z Krakowa lunety umieścić w pawilonie trzy metry długim i trzy metry szerokim, a następnie urządzić stację radiotelegraficzną, latarnię sygnałową i t. d.

W tak urządzonym obserwatorium prowadzi się dziennik obserwacji i notuje w nim wszelkie wydarzenia.

Dziennik ten najlepiej maluje życie garstki uczonych polskich,

Pod dniem 3 czerwca 1922 roku zapisano: „O godz. 5 pierwszego ładowny wyruszył na szczyt po żmudnej, kamienistej drodze.

O godz. 8^{3/4} osiągnięto polaną szczytową, na której stoi już domek mieszkalny dla obserwatorów. Budka astronomiczna pod duży szukacz komet Steinheila jeszcze bez dachu, wznosi się na sporym kopcu, usypanym na najwyższym szczycie polany szczyto-

¹⁾ Codzienna Praca — Marja Dąbrowska — Warszawa 1924. Nakładem Wyd. Propagandy Związku Polskich Stowarzyszeń Spożywczych.

²⁾ Codzienna Praca.

³⁾ Gałąź Czereśni — Marja Dąbrowska Warszawa 1922 r. Wyd. Wyd. Propagandy Zw. Pol. Stow. Spożywców.

⁴⁾ Dzieci Ojczyzny — opowiadanie historyczne dla młodzieży — 1923 r. — Towarzystwo Wydawnicze w Warszawie.

⁵⁾ Marja Dąbrowska „Uśmiech dzieciństwa“ — Wspomnienia — 1923 r. — Towarzystwo Wyd. w Warszawie.

wej. W godzinach popołudniowych zmontowano próbnie Steinheila. Jak wiemy, ten szukacz komet wywiązał się dobrze ze swego zadania.

18 czerwca. „Steinheil“ jeszcze bez dachu. „Środków materiałnych na zakupno desek, przywiezienie ich na szczyt oraz opłatę robotników nie posiadamy, gdyż na tę jedną rzecz musiałbym przeznaczyć całą rozporządzalną gotówkę”!

20 czerwca. „Wyprawa po prowianty do Mszany należy do najdalszych i najuciążliwszych (9 godzin marszu). Część drogi odbywa się nocą, przyczem można łatwo zabłądzić po ciemku w lasach Łysin”.

21 czerwca. „Bardzo pracowity dzień. Po 9 godzinach marszu 3 godziny obserwacji do jasnego świtu, po 4 godzinach snu — nastąpił 12 godzinny dzień roboczy.

Pracowaliśmy, jak prości robotnicy (nad wzniesieniem anten i gromochronu) z siekierą i narzędziami w ręku. „Zaczynamy odcyfrowywać depecze świetlane obserwatorium krakowskiego”.

30 czerwca. „O północy Greenwich wcale wyraźnie usłyszałem sygnały z Nauen. Była to pierwsza depecha, przyjęta na Łysinie”.

1 lipca. „P. Czermierko powtórnie spędził noc w lasach, nie mogąc, ogarnięty nocą, wśród ciemności, wyszukać drogi do Stacji”.

2 lipca. „Udało się po raz pierwszy przyjąć w dzień depeczę z Nauen”.

31 lipca. „Po trzech dniach lutowania, oraz 4 dniach prac ziemnych możemy budowę uziemienia uważać za skończoną.

O północy przyjąłem wyraźnie wszystkie 10 sygnałów nauueńskich”.

14 sierpnia. „O północy aparat radjotelegrafu zaczął działać”.

16 września. „Stacja definitywna została założona.

Radjostacja jest uporządkowana, (przyjmuje paryskie sygnały naukowe) pawilon astronomiczny ukończony, Steinheil odczyszczony oczekuje pogody, domek mieszkalny w znacznej mierze uporządkowany. Stacja meteorologiczna funkcjonuje kompletnie”.

17 września. „W kasie nie ma nic pieniędzy” itd. itd.

Wśród prac instalacyjnych i obserwacji naukowych przewijają się wzmianki o otaczającej przyrodzie, które nadają dziennikowi tło i koloryt. „Piękna noc księżycowa. Światła Krakowa widać wyraźnie”, zanotowano jednego dnia.

„W przedwieczorowych godzinach długotrwały koncert słowików”.

czytamy dalej. „Po polanie słycać szczerkanie rogacza”. „Rano słońce, gorąco, w południe burza z grzmotami i piorunami, wieczorem ogarnia nas chmura”. Innym znów razem: „Noc. Tło nieba czarne. Droga mleczna wspaniała, gwiazd widać bardzo dużo. Wicher, gwiazdy nieco drgają”. A jeszcze gdzieś indziej: „Pokazały się w dużych ilościach grzyby. Również pokazały się już borówki”. Ale nie zawsze jest sielanka: „O godz. 20½ uderzyły 2 pioruny (podobne do strzału armatniego) w piorunochron”.

Są w „Dzienniku” Stacji i wzmianki o ludziach. I tak: 29 czerwca: „Polanę naszą odwiedzają gromady chłopów i dziewcząt z Pcimia, Węglówki, Trecześny, Kobielnika, oglądać Stację” albo: „16 lipca, niedziela — o południu zgłosiły się 4 kobiety z okolicznej wsi, które specjalnie przyszły na szczyt góry, prosić o wróżbę”. 2 listopada: „Dowiedziałem się, jakiego zdania są górale, węglowscy o naszej wyprawie. Mówią, że luneta przyciąga deszcz i niepogodę. My jesteśmy winni, że rok ten taki marny. Obiecują, iż jeżeli następny rok będzie z taką pogodą, jak bieżący „przyjdziemy i wypędzimy ich”.

Oto w jakim trudzie i wysiłku, w jakim osamotnieniu i pustce rodziło się to dzieło, z którego dziś dumny jest każdy reporter polski, jakgdyby to on własnymi rękami zbudował Stację na Łysinie, jakby to on odkrył komety...

W homeopatycznych dozach wydziela Sejm kredyty na cele nauki. Społeczeństwo ani słyszyć nie chce o jakimś tam „Narodowym Instytucie Astronomicznym”.

Kopernik wystarcza wam po wszystkie czasy.

Ale gdy astronom, pobierający 65 zł. pensji miesięcznej, zrobi odkrycie naukowe, wtedy wszyscy garniecie się skwapliwie pod złote pióra wahlarza jego sławy.

Cichym i bohaterskim jest dziś wysiłek polskiego uczonego. Dlatego należało to podkreślić tutaj.

Andrea

KOBIETA W ŚWIECIE I W DOMU



„NAJLEPSZA AMERYKANKA”.

Tak nazywają Amerykanie panią Grace Coolidge, żonę prezydenta St. Zjednoczonych.

Cieszy się ona w swym kraju nie mniejszą popularnością, niż jej dostojny małżonek, a nawet jak twierdzą niektórzy — ten ostatni zawdzięcza może właśnie swe wysokie stanowisko i uznanie. Jakiem go otacza jego społeczeństwo, temu, że ma panią Grację za żonę!

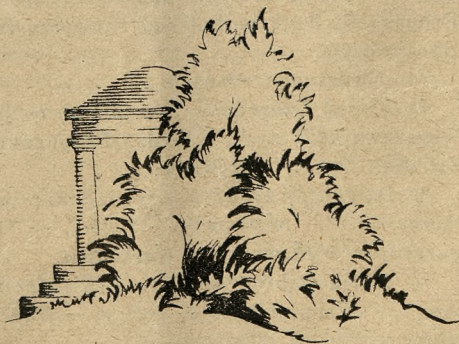
Pisma amerykańskie, kreśląc sylwetki prezydenta i jego żony, podkreślają zawsze różnicę ich usposobień i temperamentów — różnicę, która właśnie prawem doboru kontrastów tworzy doskonale szarmonizowane i bardzo kochające się małżeństwo.

Prezydent Calvin Coolidge jest małomówny, skryty, nie lubi towarzysstwa i licznych zebrań, usposobienie ma poważne i rzadko się uśmiecha; pani Gracja przeciwnie jest niezwykle towarzyska, wesoła, uprzejma i rozmowna, a wdziękiem swym osobistym ujmuje każdego, kto się do niej zbliży.

To też wszelkie obowiązki „reprezentacyjne” spadają przede wszystkim na barki pani Coolidge.

Prezydent gra w nich rolę drugorzędną, zadawalniając się od czasu do czasu — gdy już zajdzie tego konieczna potrzeba — wtrąceniem do ogólnej rozmowy jakiegoś zdania, zawierającego zresztą zawsze myśl głębszą i skierowującego często dyskusję na inne tory. Lecz podtrzymywanie tej rozmowy, i nadawanie jej właściwego tonu i kierunku — owa sztuka tak subtelna, a tak konieczna w życiu towarzyskiem — stanowi już wyłączny przywilej pani prezydentowej.

Amerykanie opowiadają różne anegdoty z życia państwa Coolidge, doskonale ilustrujące różnicę usposobień obojga małżonków. Tak np. pewnego razu, gdy p. Coolidge (nie będący jeszcze wówczas prezydentem) w okresie przedwyborczym objeżdżał Stany Zjednoczone w towarzystwie swej małżonki, w jednej z miejscowości, przez którą przejeżdżał, na powitanie jego wyszło kilkuset drobnych farmerów. P. Coolidge, zamiast wygłosić do nich płomienną mowę,



jak to zwykle czynią w takich wypadkach kandydaci na prezydenta, ograniczył się jedynie do uprzejmego „shake-hands” (uścisku ręki). Poczciwi Amerykanie byli głęboko rozczarowani, spodziewali się nawiązania osobistej znajomości, miłej pogawędki etc. — zamiast tego wszystkiego, spotkało ich przyjęcie bardzo chłodne i nie pozostawało im nic innego, jak powrócić do swych domów.

Pani Coolidge jednak w lot pojęła sytuację. Uśmiechnięta i uprzejma, powitała jak najserdeczniej zgromadzonych, zapraszając ich do pobliskiej cukierni „na szklanke kawy”. Prostota jej i uprzejmość tak ujęły fermerów, że cała okolica głosowała jak jeden mąż za kandydaturą Coolidge'a.

Pani prezydentowa pochodzi z rodziny średnio-zamożnej; wcześniej bardzo zaczęła pracować na swe utrzymanie, poświęcając się zawodowi nauczycielskiemu. Jako wychowawczyni szkoły dla głuchoniemych dzieci w Northampton, poznała swego przyszłego małżonka, podówczas młodego prawnika, odbywającego w tem miesiące studia adwokackie. Złośliwi twierdzą, że przyzwyczajona do milczących wychowanków panna Gracja nie zwróciła uwagi na małomówność swego wielbiciela, oceniła zaś jego inteligencję i prawość charakteru i oddała mu swą rękę.

Pani Coolidge, poza swemi zalecaniami towarzyskimi, posiada także wszystkie cnoty domowe: jest idealną żoną i matką, oraz pracowitą i oszczędną gospodynią. Podobno wiele z pośród jej gustownych, chociaż skromnych sukienek, uszytych zostało w domu własnymi jej rękoma. Przy wszystkich swych zajęciach nie zaniedbuje także dalszego kształcenia swego umysłu: codziennie poświęca parę godzin na czytanie dzieł treści naukowej, obznajomiona jest również dokładnie z najnowszymi kierunkami literatury i sztuki.

Jeśli dodamy jeszcze, że jest osobą głęboko religijną, o niezachwianych przekonaniach etycznych, i że kieruje sama wychowaniem swych dzieci — będziemy mieli prawdziwy wzór dzielnej obywatelki amerykańskiej i zrozumiemy, dlaczego nadano jej nazwę: „the first lady of America.”

25,000 FRANKÓW ZA DZIECKO!

Magistrat miasta Angers ogłosił, że każda matka, która wyda na świat trzecie dziecko, otrzyma w nagrodę 25.000 franków. W ten sposób starają się władze municy-

palne przeciwdziałać tak rozpowszechnionemu obecnie we Francji systemowi ograniczania rodziny tylko do dwojga dzieci.

ZDANIE KANTA O KOBIECIE

Gdy raz pewne grono uczonych dał zwrócić się do Kanta z zapytaniem, jaką, według jego zdania, powinna być idealna kobieta, odpowiedział on na to w sposób następujący:

„Trzy są zalety, które powinna posiadać kobieta idealna. Powinna ona być tak dokładną, jak zegar na wieży ratuszowej — ale nie tak hałaśliwą i głośną. Powinna dalek być tak pracowitą, jak ślimak — ale nie nosić, jak ślimak, wszystkiego, co posiada, na sobie. Wreszcie powinna być podobną do echa w tem, żeby odpowiadać tylko na zadawane jej pytania — niechże się jednak nie stara, jak echo, mieć zawsze za sobą ostatnie słowo.”

Z. B.

Z REFLEKSJI NA CZASIE

Do Redakcji „Bluszczu” napływają liczne głosy Czytelniczek, uskarżających się na szereg poważnych trudności natury finansowej, które piętrzą się przed matką z inteligencji, chcącą leczyć swe dzieci. Przytaczamy poniżej jeden z tych głosów — może zbyt przepelniony gorczą — ale pełen szczerości.

(Przyp. red.)

O NASZE DZIECI

Na łamach wszystkich pism wciąż ukazują się artykuły na temat racjonalnego wychowania dzieci pod względem fizycznym. Wciąż mówi się i pisze o stacjach ratowniczych, o ochronach, sanatorjach dla najuboższych, kolonjach letnich i t. d. Ale pomijany jest fakt, że w obecnych warunkach zguba grozi dzieciom z inteligencji, nawet niezle uposażonej.

Żeby nie teoretyzować, wskazuję niebezpieczeństwo na przykładzie:

Dom składa się z trzech osób dorosłych, trojga dzieci i służącej. Miesięczny dochód wynosi 700 zł. a więc, jak na nasze stosunki, jest dosyć wysoki. Zresztą nie jest to tylko pensja ojca rodziny, ale cały przychód domowy. Najstarsze dziecko w zeszłym roku gorączkowało i wymaga specjalnie troskliwego

odżywiania. Najmłodsze — bardzo wątłe. Wogóle dzieci wojenne i powojenne.

Nie robiąc na odżywianiu żadnych oszczędności szkodliwych dla zdrowia, wydają na nie rodzice 450 złotych miesięcznie. Dwoje dzieci już się uczy i sam wpis kosztuje 70 zł na miesiąc. Służąca bierze oczywiście 50 zł, Reszta idzie na karmienie, opał, światło, pranie. Trafiające się czasem dodatkowe zajęcia pozwala załatwić specjalnie rażące braki ubranjowe. Wykluczona jest jakakolwiek rozrywka czy przyjemność, nad każdym przejazdem tramwajem trzeba się trzy razy namyśleć, bo z tych oszczędności pochodzi pomarańcza czy kawałek czekolady dla dziecka. Wszystko to jednak jakoś idzie i jakoś się wiąże koniec z końcem, dopóki nie wchodzi w grę doktor i leczenie.

Najmłodszy, dwuletni chłopczyk zachorował. Nieduża, ale uporczywa gorączka, brak apetytu, mimo stosowanych środków domowych, trwa już cztery dni. Trzeba się poradzić doktora. Należą do Kasy Chorych, opłacają duże składki, ale trudno wiaść chore dziecko na rękę i w lutym iść z niem do przychodni. A na przyjscie doktora do domu trzeba nieraz długo czekać, a zresztą najczęściej przyjdzie nie ten, do którego się ma najwięcej zaufania. Wzywają więc telefonicznie doktora dziecięcego, wolno praktykującego. Po krótkim badaniu okazuje się, że to tylko rodzaj gaszrycznej gorączki i żadnych dalszych obaw niema. Doktor zwrócił uwagę, że dziecko wykrecła trochę nóżkę i radził, żeby pokazać to specjaliście. Z a n i e s p e ł n a k w a d r a n s o w ą w i z y t ę w z i ą ł d w a d z i e ś c i a z ł o t y c h. W celu ogólnego wzmocnienia dziecka gorąco polecił naświetlania lampą kwarcową.

Gdy tylko gorączka minęła, rodzice zaprowadzili małego do ortopedysty. Ten stwierdził, że żadnej wady w budowie niema, raczej złe przyzwyczajenie, wskazał matce odpowiedni masaż, polecił również naświetlenie i za wizytę u siebie w domu wzięło 20 złotych.

Rodzice, pragnąc bez względu na trudności, dać dziecku zdrowie, decydują się na naświetlania. W zeszłym roku dały one tyle sił najstarszemu, niechże teraz malutkie się wzmocni. Coprawda zapłacili na wiosnę 1924 roku w klinice Dziecięcej na Litewskiej za 25 naświetleń 50 złotych, a suma ta wywraca zupełnie ich budżet, ale trudno — skoro ma pomóc, to

będzie zrobione. Matka zwraca się do Kliniki, aby się umówić co do godzin i ku swemu wielkiemu przerażeniu dowiaduję się, że cenę jednego naświetlenia z 2 zł. podniesiono na 5 złotych!!! Sytuacja jest rozpaczliwa i zupełnie bez wyjścia. Trzydzieści złotych możeby się jakim cudem zaoszczędziło na życiu, dwadzieścia udałoby się chyba zapożyczyć i dziecko zdobyłoby zdrowie i siły. Ale sto dwadzieścia pięć! Nie ma żadnej nadziei...

I powstaje straszna gorycz, żal i bunt.

Komuż to wolno w ten sposób spekulować na zdrowiu i życiu dziecicem?

Jeśli to robiła lecznica prywatna byłoby to niegodziwem, w Uniwersyteckiej Klinice Dziecięcej — jest potworne.

Ze sfer bezpośrednio zbliżonych do Kliniki Dziecięcej słyszałam w zeszłym roku, że opłata dwuzłotowa nietylko zwraca koszty i amortyzuje lampę, ale zbiera fundusze na rozszerzenie działu naświetlań, a więc prawdopodobnie 1 złoty 50 groszy wystarczyłyby aż nadto na zwrot kosztów i amortyzację. I pocien pasek kosztem zdrowia i życia dzieci.

Nie jest w najmniejszym stopniu usprawiedliwieniem, że doktorzy w prywatnych zakładach biorą do 8 złotych za taki zabieg. Wymagania doktorów wolno praktykujących od kieszeni swych pacjentów i cały ich stosunek do swoich zadań zawodowych nie daje się wogóle niczem wytłumaczyć i są oni pod tym względem sferą zupełnie wyodrębnioną z całości społeczeństwa. Słyszałam niedawno matkę rozgoryczoną brakiem możliwości leczenia swych dzieci, która w następujący sposób analizowała stosunki, panujące w tej dziedzinie. Chociaż przyznaje, że tylko rozgoryczenie może usprawiedliwić tak ostry sąd, przytaczam jej słowa, bo znajduje się wśród nich wiele, niestety trafnych uwag.

„W czasie wojny i w czasie okupacji brak było najniezbędniejszych produktów spożywczych. Wobec tego braku podaży i ogromnego popytu ceny żywności wzrastały ciągle i mimo cen maksymalnych kupcy i sklepikarze brali za wywalczone masło czy cukier horendalne sumy. Wojna i okupacja minęły. Cukru, masła, mąki pod dostatkiem i możemy je nabywać w miarę potrzeby. Ale skutkiem tyloletnich ograniczeń powstał ostatni powojenny brak — brak zdrowia. I na tle tego ostat-

niego powojennego braku, rozwija się ostatnie powojenne paskarstwo: lichwa środkami dającymi zdrowie i życie”.

Izba Lekarska wybrana i uznawana przez ogół doktorów uchwaliła kolosalną taksę 8 złotych za wizytę u siebie i 15 złotych u pacjenta. Przyjęcie pięciu pacjentów u siebie i odwiedzenie pięciu na mieście daje przy minimalnym zajęciu czasu 2,875 złotych miesięcznie, co jest sumą, której wprost nie obejmuje myśl pracownika umysłowego poza adeptem medycyny. Jeśli ilość pacjentów podwoimy co przecież często się zdarza, dochód miesięczny doktora wyniesie prawie 6.000 zł! I to doktorowi nie wystarcza. Popyt jest tak wielki, że opłaca się przekroczyć — postanowienie swojej najwyższej władzy moralnej i honorowej — Izby Lekarskiej i brać zamiast 8 iu — 15, 20, 30 zł.

Bolesne to wszystko, bolesne z każdego punktu widzenia. Bo przedewszystkiem jako fakt, charakteryzujący bardzo niski poziom etyczny naszej inteligencji. Powtórę jako wielkie niebezpieczeństwo nietylko na chwilę bieżącą, ale i na całą przyszłość.

Tysiące, bez przesady, tysiące ludzi umiera przedwcześnie z powodu zbyt wysokich opłat lekarskich.

Dziesiątki, setki tysięcy dzieci ginie lub wyrasta słabo, anemicznie, z podkładem gruźliczym z powodu lichwy na poradę doktorską, na zabiegi wzmacniające, ratownicze.

Budowanie senatorjów dla zdecydowanie, nieuleczalnie chorych jest pięknym czynem filantropijnym, ale dla społeczeństwa ma znaczenie drugorzędne. Udostępnić dzieciom wszelkie środki, powiększające ich od-

porność życiową — to jest najważniejsze.

Insytucja „Ratujcie Dzieci“ powinna rozszerzyć horyzonty swoich zainteresowań. Niechaj wyda odezwę nie do społeczeństwa, ale do doktorów. Niech woła:

„Doktorzy! Ratujcie dzieci! Pozwólcie im się leczyć! Dopuszczcie do tych cudownych naświetlań, zastrzyków, kąpiei, gimnastyk, masażu, które mają im dać siły na długie lata, a które wy macie w swojej mocy, do swego rozporządzenia!

Nie bądźcie tym straszliwym smokiem z bajki, strzegącym cudownego źródła z Wodą Życia. Setki rodziców przechodzi niebezpieczną i straszną drogę odmawiania sobie najniezbędniejszych wydatków i dąży, aby zaczerpnąć wody dla swych słabowitych dzieci. A wy walczycie z nimi niezwykłą bronią: cennikiem zabiegów leczniczych. I nieszczęśliwi kamienią z rozpaczony wobec niemożności uratowania swych dzieci.

Doktorzy! pamiętajcie, że na waszym sumieniu ciąży odpowiedzialność za śmierć lub charłactwo nie tych dzieci, które leczyliscie bezskutecznie, nie tych nawet, choć to okropne, które zginęły przez waszą omyłkę w dyagnozie lub systemie leczenia — ludzie są omylni, lecz tych, których nie leczyliscie. Tych wszystkich, które przy odpowiedniej kuracji mogłyby wyrosnąć na zdrowych, mocnych ludzi, a musiały zamierać z wycieńczenia i braku siły, bo rodzice ich nie mieli kapitałów, potrzebnych do zaspokojenia waszej nadmiernej chciwości.

Te wszystkie dzieci macie na sumieniu.

Tu nie chodzi o filantropję w stosunku do nędzy wyjątkowej. Chodzi tylko o to, żeby ludność średnio zamożna mogła za opłatą równą opłacie pobieranej w innych krajach europejskich — nabyć żądaną pomoc lekarską.

A teraz wnioski realne:

1) Żądamy przedewszystkiem od lekarzy — kobiet solidaryzowania się z naszym ruchem pod hasłem „Ratujcie Dzieci“!

2) Żądamy od naszych posłanek w sejmie, przedstawicielek w radach miejskich i t. p. publicznego przedstawienia i potępienia tych anomalij.



3) Żądamy od Najwyższej Izby Lekarskiej obniżenia opłat do wysokości praktykowanej zagranicą i traktowania każdego przekroczenia tej uchwały, jako postępku niehonorowego.

4) Żądamy taksy, równej obowiązującym zagranicą za wszelkie kąpiele lecznicze, naświetlania, gimnastykę, masaże itd.

5) Żądamy aby każda szkoła państwowa posiadała urządzenia potrzebne do wykonania najczęściej zalecanych dla młodzieży zabiegów leczniczych (lampa kwarcowa, najelementarniejsze przybory do gimnastyki leczniczej itp.). Zabiegi te powinny być dla uczniów danej szkoły bezpłatne, dla dzieci szkół prywatnych — za zwrotem kosztów.

6) Żądamy bezwzględnie do czasu uregulowania tych stosunków udzielania bez żadnych trudności paszportów ulgowych osobom, wywołującym swoje dzieci na kurację zagranicę. Nie wolno przecież nakładać opłat celnych na importowanie zdrowia dla przyszłego pokolenia! Obawa przed nadużyciami nie może być tutaj nieprzebytą zaporą, bo równą, jeśli nie daleko lepszą okazją do nadużycia jest istnienie paszportów dyplomatycznych, które mimo to szafuje się aż nazbyt hojnie.

Piszę „žadamy“, a któż to jest „my“? Co to za potęga, która chce zamienić stosunki w całym kraju?

To — my, Matki.

To — największa potęga w Polsce. Żadna z nas pojedynczo nic nie zrobi.

Któraż może zacząć walkę czy opozycję w stosunku do doktora, który leczy jej dziecko? Każda od mówi sobie wszystkiego i, mimo świadomości, że to bezlitosny wyzysk, poprostu wymuszenie, zapłaci żadaną przez lekarza sumę, byle tylko chciał dalej ratować jej dziecko.

Ale jeśli pod krytyką, skierowaną nie przeciw danemu doktorowi, a przeciw karykaturalnym stosunkom społecznym, które są bolączką całego niemal kraju, znajdują się setki tysięcy podpisów matek, jeśli w obronie naszych żądań murem staną wszystkie organizacje, związki zawodowe i stowarzyszenia kobiece bez względu na odcień polityczny, z którym sympatyzują — słuszość zatriumfuje nad przemocą i spełnimy nasze najświętsze zadanie — uratujemy nasze dzieci!

Matka.

WYCHOWANIE FIZYCZNE I SPORT

PARĘ UWAG O WAKACJACH NASZYCH DZIECI

Zbliża się lato, każda z matek myśli o tem, co ma zrobić, aby dzieci jej w jak najkorzystniejszy sposób spędziły okres wakacyjny, aby on nie był tylko czasem, spędzonym na próżnowaniu, na nudach zgubnych dla charakteru, a nie przynoszących również pożytku dla zdrowia.

Dziecku trzeba dać przez wakacje dużo swobody, niech się wysypia i wypoczywa wiele tylko zechce, ale niech nie traci czasu.

Jeśli matka widzi, że dziecko nie może samo znaleźć sobie rozrywki lub bawi się nieodpowiednio, powinna mu dopomóc, powinna wykorzystać lato przede wszystkim na uzupełnienie braków w jego wychowaniu fizycznym. O tem chciałam pomówić trochę z moimi Czytelniczkami.

Jeśli dziecko wyjeżdża z rodzicami na wieś, na prawdziwą wieś, to życie układa mu się wprost samo. Znajdzie tam ogród, pola, las, gospodarstwo wiejskie, gdzie tysiące zainteresowań, tysiące sposobności do ruchu, do zabawy, do zajęć fizycznych, czy to będzie pomagać przy grabieniu i przewracaniu siana, czy kopać lub pleć w ogrodzie, czy zbierać w lesie jagody i grzyby, czy bydło paść z wiejskimi dziećmi, rąbać i piłować drzewo i wiele innych rzeczy, byle dziecko zachęcić i dać mu niezbędne przyrządy.

Dla małych dzieci do lat 5 — 6 wystarczy w zupełności niewielka przestrzeń, jeśli tylko wolno im tam będzie kopać i ustawiać, co zechcą. Wysypać im tam dużą kopę piasku, trochę kamieni i gałęzi, jeśli jeszcze w pobliżu jest woda to już takim dzieciom nic więcej do szczęścia nie potrzeba. Zdawałoby się to tak proste, że nie warto o tem nawet wspominać, tymczasem wiele to się spotyka willi, pensjonatów i zakładów, otoczonych maleńkim, zagęszczonym kwiatami i krzewami ogródkiem z wąziutkimi ścieżkami, gdzie dziecku nie wolno „śmiecić“, gdzie musi jak w miejskim parku spacerować tylko tam i z powrotem.

Starszym dzieciom potrzeba już trochę więcej. Pisałam kiedyś o gimnastyce szwedzkiej, jeśli matka ma o niej trochę pojęcia, a o to przecież nietrudno, bo można czy to trochę przeczytać o tem, czy to poprosić o wskazówki kogoś, znającego się na tem, to po-

winna przez lato prowadzić sama trochę gimnastyki z dziećmi.

Najchętniej będą się dzieci gimnastykowały jeśli zorganizować wspólną gimnastykę czy gry dla większej grupy dzieci, a to przecież na każdym letnisku się znajdzie.

Nie chodzi tu o żadne formalne prawidłowe lekcje, ale o zorganizowanie, o skierowanie zabaw dzieci w tym kierunku.

Parę najprostszych przyrządów odda tu duże usługi. Grubsza lina służyć może nie tylko do skoków, lecz zawieszona na jakiejś belce lub gałęzi może być używana do wspinania się. Dla słabszych dzieci można porobić na niej węzły. Dzieci ogromnie to lubią, a ćwiczenie to wyrabia bardzo siłę i odwagę.

Przy skokach zwrócić trzeba uwagę, żeby nie skakać na otwarty grunt, ale albo na trawę, albo na ziemię skopaną i zgrabioną, która zawsze ma być pulchna.

Mając dużą piłkę można zorganizować całą masę gier. Zasady paru gier podam w którym z najbliższych numerów.

Aby nasunąć paniom, jakie ćwiczenia mogą dla dzieci stotować, przypomnę pewne grupy ćwiczeń, o których już wspominałam, bo wiem z praktyki, jak często stanąwszy wobec grupy krzyczących roześmianych dzieciaków zapomina się wprost, czuje się jakąś pustkę w głowie i nie wie się, od czego zacząć.

Pamiętając zaś ten ogólny podział, łatwiej sobie przypomnieć, czy wymyśleć odpowiednie ćwiczenia.

A więc ćwiczenia w rzucaniu, w walce czyli siłowanie się, w podnoszeniu i noszeniu, różnych sposobach ścigania się, skoki, równowaga.

Rzucanie rozmaitemi przedmiotami, na odległość, wzwyż, w dal, do celu, siłowanie się wręcz, czy przez przeciąganie się liną, lub przepychanie kijem, podnoszenie przedmiotów lub dzieci, noszenie we dwoje jednego na barana itp. ściganie się biegiem, skokami na czworakach, na jednej nodze, tyłem, przełazenie płotów, wspinanie się na drzewa, liny, żerdzie, chodzenie po belce lub kładce pojedynczo lub we dwoje (jedno tyłem, drugie przodem) chodzenie z przyklękaniem itp.

Jeśli jest koło domu huśtawka z orczykiem lub drabina, to dostarczy ona dużo różności, ze zwykłej deski w braku innych przyrządów zrobić można huśtawkę tak, jak ją robią miejskie dzieci, prze-

łożywszy wprost przez belkę czy inną podstawę, opierając się zaś jednym końcem o ziemię, drugim gdzieś wyżej mamy doskonałą równowagę pochyłą. — Trochę tylko pomysłowości!

Największą atrakcją na wakacjach, a zarazem najzdrowszą rozrywką dla dzieci to naturalnie woda.

Każda matka, gdy szuka letniska powinna to mieć na względzie.

Starszym dzieciom od lat 7-miu nie wystarczą już jednak same kąpiele czy to słoneczne czy wodne, powinny stanowczo zacząć już naukę pływania. Przy pływaniu nie chodzi o sam wpływ zdrowotny przebywania w wodzie, obnażenie ciała na powietrzu i słońcu, pływanie jako takie jest znakomitą i bardzo wszechstronną gimnastyką całego ciała.

Jak ten sport jest uznany za niezbędny dla młodzieży, świadczy choćby fakt że w szkołach angielskich nauka pływania należy do obowiązkowych przedmiotów!

U nas jest on jeszcze bardzo słabo rozpowszechniony i znam fakty, wołające wprost o pomoc do nieba, że są rodziny rok rocznie wyjeżdżające nad morze, których ani jeden członek nie nauczył się pływać, są nadmorskie kolonie, gdzie niema zorganizowanej dla dzieci nauki pływania.

W innych krajach ludzie wykorzystują się na urządzanie zimowych basenów pływackich, u nas tego, co jest, należy nie wykorzystujemy.

O pływaniu będę pisała oddzielnie dziś chciałam tylko zaznaczyć, że sport ten ma i tę znakomitą stronę, że stosownie do wieku i siły może być sportem zupełnie ładnym i lekkim, pływanie zaś sposobami trudniejszymi, nurkowanie, skoki, pływanie szybkie są już sportem wyjątkowym bardzo nawet ogromnie wytrenowanych sportmenów.

Myślmy więc o tem, aby dzieci nasze, szczególnie, jeśli nie wyjeżdżają na wieś, a w mieście jest rzeka, nauczyć przez lato pływać; wakacje takie będą najpożyteczniejsze dla zdrowia.

Kto może, niech nie zapomina o konnej jeździe, bo i tego najłatwiej nauczyć się w wieku dziecięcym.

Dla dziewczynek ogromnie ważną sprawą jest sprawa ubierania się w lecie. Małe dziewczynki jak najdłużej powinny ubierać się tak jak chłopcy, a więc trykotowe koszulki i majteczki, jak do gimnastyki, czy na plażach.

Wszystkie dzieci powinny chodzić boso.

Starsze panienki powinny zabierać zawsze na wakacje kostjumy gimnastyczne i niech choć przez kilka godzin wolno im w nich będzie pobiegać i pobawić się swobodnie.

Wspominałam w ogólnych zarysach, jakbym chciała, żeby nasze dzieci spędzały wakacje, bo wiem niestety, jak często wiele matek myśli o tem, by zabrać z sobą szczególnie dla dziewczynek jak najwięcej robótek i książek, zamiast pamiętać o przyborach i ubraniu sportowem, nie pamiętając, że lato tylko może wyrównać, zniwelować ujemne strony całorocznego życia szkolnego, że dzieci muszą rozprostować zgięte plecy, rozszerzyć klatkę piersiową, dać odpocząć zmęczonemu nerwom i oczom, rozruszać wszystkie członki, unieruchomione godzinami nad książką.

A więc odrzućmy książki i „robotki“, a jak najwięcej ruchu, ćwiczeń, pracy fizycznej i sportów.

I. F.

...„PRZECIEŻ TAM JEST WARSZAWA!“...

Kilka słów o gościnności..

Jaką jest pani Anglja w stosunku do przyjezdnych gości? Krótko i łagodnie mówiąc: dziwna. Wystarcza sama sobie. Gości więc nie lubi. Niechętnie wita, szczególnie słowianina. Zatrząskuje mu czasem drzwi przed samym nosem, jak to się zdarzyło naprawdę kilku moim rodakom.

Zdawać by się mogło, że wszystkich się obawia i rygluje mocno bramy swego pałacu.

Już pierwszej godziny owego skomplikowanego ruszenia się z miejsca — w tamte strony, na statku angielskim, w drodze okrężnej przez Gdańsk, przy table-d'hote pana kapitana, w wieńcu po starszeństwie siedzących second-mates, usłyszysz z ust opalonego władcy statku, że na tym pokładzie pływającego domu, mówić trzeba tylko po angielsku. I tylko... żadne inne narzecza nie będą uwzględniane.



— Jakto? — denerwuje się obywatel z Polski, — „stale, raz na tydzień przybijacie do Gdańska, ocieracie się o brzegi Polski i nikt, nikt z załogi ani jednym słowem?... albo też i po francusku.

A i po co? — huknie pan kapitan szczerze ubawiony, — „z angielskim wszak objeżdża się cały świat dokoła!“

Zawtórują mu pyszałkowatym śmiechem wszystkie morskie wilki, nawet ten stary pokręcony majtek wyga, usługujący przy stole wykrzywi się, jak ostatnia małpa.

I niema rady, godzący się „na razie“ na cudzoziemskie ponętki łagodny słowianin, wyciągnie pękaty słownik i pocznie się dokuwać, wydając lekcję cztery razy na dzień.

Ale oto koniec podróży.

O zmierzchu piątego dnia, już na Tamizie z czeluści mroków, wyłoni się kolosmiasto i pocznie się nasuwać w obłokach sadzy i dymu. Naraz ktoś nieproszony, za plecami pasażerki odezwie się najczystsza francuszczyzna: „Oto widzi pani, po lewej stronie mamy przepiękne, a zielone hrabstwo Kent, a po prawej Essex...“

Ten! ten! opalony, w beczelnym humorze kapitan okrętu!!

— Jakto, to pan mówi?..

— Ależ oczywiście! — trzęsę się ze śmiechu, — chciałem tylko przymusić Szanowną pasażerkę... Przybyło pani conajmniej sto angielskich wyrazów. Musi Pani bardzo, bardzo mi być wdzięczną.

— Nie, porównuję właśnie... Teraz już wiem, jak wygląda gentleman... angielski!

* * *

Głupiutkie wydarzenie — a w niem cała Anglja. Nagiać, przymusić, podporządkować wszystkich na całym globie. Taką sobie opiekuńczą misję obrała. W swym zaś domu, na każdym kroku pouczy cudzoziemców: „róbcie wszystko — tak, jak ja!“

Nasuwa się porównanie: my?

Niechno tylko zawita w nasze skromne progi gość zamorski, nawet prywatnie, w każdym polskim domu wnet poczną się wysiłki, aby mu było u nas — jak u siebie w kraju. Wygodnie, a niekrepująco. Wnet gorączkowe przepytywanie wśród znajomych, czy aby kto nie włada płynnie mową gościa? I posadzenie go przy stole wśród takich tylko osób, aby mu było przyjemnie i swobodnie.

Bo gość w dom — to Bóg w dom, a wszystko inne, naraz idzie w ką. I będzie tak — dopóki my będziemy.

A kiedy popłyną wreszcie za morza nasze polskie statki, z polską załogą, z innym trybem dnia i (konieczni!) polską kuchnią — napewno wśród załogi znajdzie się co drugi, co chętnie, bez przymusu z cudzoziemcami ich mową będzie gwarzyć.

* * *

Na dalekiej, zimnej wyspie są także gościnni. Powitają podróżnika z europejską manjerą: otoczą go wygodami i zamorskimi dziwami. Wszystko jakoś dokoła samo będzie się działo: błyskawicznie i racjonalnie. Zmechanizowane, do najdalej idących

pomysłów życie, porwie go w swe tryby i potoczy się, jak mała, coraz bardziej ogładzana kulka w kierunkach jej nadawanym. Na każdym kroku zaś, najmniejsze upodobania cudzoziemca, będą potępiane wśród tych — gdzie nie istnieje pojęcie tolerancji.

I nikt go nie zapyta: skąd przybywa? w jakiej części świata stoi jego dom rodzinny? jakie burze przewaliły się nad jego skromną chatą? Jakie biedy gnębią?

Zimna milczeniem spojrzy twarz gospodarza, jeśli coś tam bąka o swej dalekiej ziemi.

Dobrze jeszcze, jeżeli tylko zimna milczeniem.

Oto np. wieczór świąteczny. Na wspólnym obiedzie — grono zaprzyjaźnionych ludzi. Jak wesoło. Jak niefrasobliwie. W lustrzanej powierzchni lakierowanego stołu odbijają się potrójnie połyskujące kryształ i staroświeckie srebra. Na samym środku wykwiła cały klomb przepysznych kwiatów. Brzęk szkła, dźwięk śmiechu i przyjazne spojrzenia. Są tak przychylni, tak bardzo gościnni. Nie trzeba znów zaraz sądzić z jakichś tam błahostek! Właśnie po paru kieliszkach purpurowego wina — wszystko się wyrównuje. Przepaście przekonania — otchłanie nieporozumień. W głowie szumią szumne słowa: powszechne braterstwo, nie lepiej — zbratanie się ludów. Polska weszła na gościńce szerokiego świata. Polski genjusz dowiódł światu, do jakich zawrotnych wyżyn sięga polska myśl twórcza i artyzm.

Naraz przykry zgrzyt noża po szkłe i — pękają mydlane bańki! Pan domu po jakiejś tam reminiscencji, ni stąd, ni zowąd zawoła:

— He, he... ta Polska! czem żeż jest właściwie ta cała wasza Polska! I ten sam wyraz pychy i samolubstwa na mocnej twarzy, ten sam, jaki miał pan kapitan ze statku.

Robi się w oczach ciemno. Szumi, szumi coś w uszach. Czyżby to wino? Nie, nie, to nie wino. To nagła fala krwi gorącej uderza na mózg. Czy to się może zdaje, czy naprawdę ktoś mówi rozciągając umyślnie obelżywe słowa? Czy naprawdę, naprawdę rozszerzają się w usmiechach zebrane, wszystkie, jak jedna zadowolone z siebie twarze?

Już nie widzę kryształów, które się odbijają potrójnie w lustrzanej powierzchni stołu. Widzę ognistą, furkoczącą wstęgą wypisaną czelnymi słowami; „czemżeż jest ta cała wasza Polska? — Ja nie pozwalam...“ Spazm przykry ścina gardło. I choćby najbardziej głębokiego serca był przybysz zdaleka i gdyby najśłoneczniej usposobiony był i do gospodarza i do jego krewniaków i wszystkich rodaków, z gołębia przemieni się w drapieżnego ptaka.

Zda się, że ostre pazurki wyrastają mu naraz u palców i ma ochotę wydrapać te wszystkie, wszystkie w pysze uśmiechnięte a zielone oczy.

Hm! hm! ponosi — ponosi! wszakżeć nie od wypitego, czerwonego wina? — „Czemżeż jest ta cała nasza Polska?“ — mówią usta same, cisnące się z pod serca, za-

brzmiało krwią słowa. — „Ha! napewno, czemś więcej, niż wy tu wszyscy razem wzięci imaginujecie! Napewno — Ai... nigdy może nie jest znów tak mała, jak się może komuś zdaleka wydaje. Oczywiście tak samo i to.. ogromne. A zresztą Rzym się także kiedyś puszył swoją wielkością... A czemżeż? Gdzie ta cała wasza można Anglja, gdy wreszcie kolonje pójdą po rozum? Ha! Właśnie nieudolne jeszcze, potężnego początku: Egipt. Właśnie Egipt!“

Słowa same za siebie odpowiadają. Nieproszone wylatują jak małe błyskawice i pałają.

Naraz wzrok mój pada na przepyszne kwiaty. Stoją sobie danule i pachną dla wszystkich. Milczeniem. Kłopotliwe milczeniem. Z boku ktoś coś bąka, coś pojednawczego. Pan domu się nadał, jak ten „narodowy“ przed chwilą na półmiskach podawany indor.

Było bardzo gorąco. Teraz jest już chłodno. Muzyka obok w salonie gra już najmodniejsze Tango. Będą znów tańczyli, tańczyli, tańczyli... Usiądę przy kominku — ręce splotę nisko. Jest obco, nieprzyjemnie; tak naraz źle. Czy dlatego, że oni mają piękny pałac, a my skromny dworek?...

Jakżeż bardzo przykro. A bo to ja zaczęłam? On! on pierwszy! a mnie jest bardziej przykro. Jemu nic, a nic. Już tańczy, już się cieszy. A kto jest gospodarzem?

Przybyłam do nich ze słoneczną przychylnością, i nic im nie wykradnę... ani im beczeszczę.

Czy dlatego, że oni mają wyłacany pałac... czy dlatego nadają sobie prawo pięści?...

Pozostawcie mnie samą... Nie, nie, ja już się nie gniewam... No tak, to przecież boli. Na ziemi mej działa się ogromne wielkie rzeczy, i nikt nie może wiedzieć, co jeszcze dziać się będzie. Bawcie się... Odejdź! Odejdź od nich, ale tylko na krótko... Skupić się i powrócić na nowo. Ze wzmogoną energją. Nieudolni, być może, naiwni słowy... ale mówić, mówić, tłumaczyć, jak się tylko umie: — „przecież tam jest Warszawa! — To nic, że na razie „on nic nie rozumie!“

Hanna Skarbak

Z KSIĄŻEK

Józef Weysenhof „Świt i dzień“

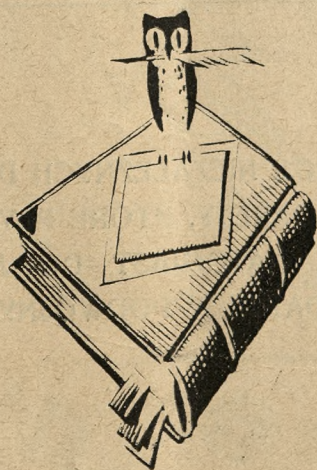
Wśród wszystkich powojennych powieści, powieść Weysenhofa jest jedyną z tych, która kryje w sobie wielką otuchę, zdrową i mocną nadzieję. Jak nic z najszczerzego złota, przewija się przez nią — głębokie polski umiłowanie i niezachwiana w nią wiara. Jest to może także, pierwsza próba — nietyle opisu kolejności wielkich wydarzeń — ile historii mozołnej drogi, jaką w tym czasie przechodziła dziejowa myśl polska, szukając przeznaczeń swych, łamiąc się w splocie tragicznym dziejowych wydarzeń, niespodzianych, nieobliczalnych, kataklizmowych. Poprzez piekło dantejskie, przez zmaganie się rozszalałych mocy, poprzez czarne noce zwątpień — odnajduje wreszcie drogę właściwą i cel jasny.

Akcja rozpoczyna się w przeddzień mobilizacji pogodnemi obrazami, w których subtelny artysta pióra ironizuje zrazu wykwintnie dawnym, znanym nam zwyczajem, aby potem dać scenę o napięciu dramatycznym a pokładzie mistycznym. Zjawia się tajemnicza postać, znana nam już z niektórych dawniejszych powieści Weysenhofa, jako Piast, duch przewodni narodu.

Tym razem jest to Stary Pozero, który przechodzi przez wsie i domy, rzucając przejmujące wróżby.

„Blisko już... dudni ziemia... trzeba w gotowości być... Zaraz potem obraz mobilizacji w zakątku ziemi Radomskiej, piękne kazanie tegoż samego przeora — a potem szereg obrazów wojennych: wejście legjonów do Kielc, bitwa pod Warszawą, obraz z przeraźliwej wędrówki ludu polskiego, gnanego na Wschód. Potem historyczne, epizody z Mińska, Dutowy i Bobrujska, najszerzej traktowane dzieje emigracji polskiej w Kijowie, bombardowanie tego miasta przez bolszewików, przyjście Niemców, wreszcie koniec wojny i życie w Polsce zmartwychwstałej. Plan obszerny uspra wiedliwia w zupełności tytuł: „powieści historycznej, współczesnej.“ Czy istotnie wykonany? [Raczej nie. Zadużo rozmów o różnych orientacjach, zadużo polityki, zadużo teorii — zamało obrazów, zamało epizodów naprawdę wojennych, które aż wołają o pióro. Zamało teżyzny epickiej i obiektywnej, za duzo gawędziarstwa i publicystyki. A tam, gdzie występują takie realne obrazy (przemarsz I pułku ułanów z Dukowy do Bobrujska wraz ze znaną utarczką z bolszewikami, bombarowanie Kijowa), — jakże znać rękę wytrawnego mistrza.

Trochę dezorientacji wprowadza mieszanie znanych, a nawet historycznych postaci — z urojonemi. Postać rotmistrza Bronka, którego autor nazwał Linowskim i poza zmianą nazwiska pozostawił mu czyny bohaterские i śmierć tragiczną, to jedna z najpiękniejszych postaci z I-go pułku ułanów, prawdziwy rycerz bez skazy i trwogi — „żołnierz Boży, najwybrań-



szy." Dzieje jego krótkiej i dramatycznej wojskowej kariery — to temat przepiękny do rycerskiego rapsodu. W powieści przesuwają się jak cień — zarazem promienny i tragiczny. Główny bohater Sworski — to przecież — rezoner, którego zdania i tyrady wypełniają dwie trzecie książki. Musimy wierzyć na słowo jego wielkim zasługom, gdyż w powieści uwidocznione nie są. Mniej papierowy jest przyjaciel jego Celestyn Łuba, postać zarazem wzruszająca i groteskowa, jakby dalekie i blade wspomnienie Podbiptę. Jest też parę świetlanych postaci kobiecych, lecz czuć, że autor — pochłonięty tematem, szkicuje je lekko, od niechcenia, daleki od zwykłego sobie cyzelowania — drgających krwią i życiem bohaterów swych powieści.

Zasadniczym tonem i najwyższym walorem książki — jest tętniąca w niej polskość.
M. Domańska.

Z TEATRÓW

TEATR IM. BOGUSŁAWSKIEGO

„Złoty Płaszcz” Fantastyczne widowisko chińskie w 3-ach aktach, podług G. Huzeltona i Benrima. Opracował Antoni Słonimski. Inscenizacja L. J. Schillera. Dekoracje Pronaszków. Muzyka T. Zalewskiego.

Bajka chińska. Przesuwają się przed przed oczami widza postacie barwne, jak skrzydła motyle, snuje się wątpliwa i niewinna opowieść o strasznych losach Wu-hu-gi-ta, — syna Wielkorządcy. Okrutny ojciec skazał syna wraz z matką na śmierć — ocaliła go dobroć ogrodnika. Po latach, gdy Wu-hu-gita z dziecka wyrósł na młodzieńca, pokonał tysiączne przeszkody, straszne, piętrzące się na każdym kroku przeciwności złego losu i osiadł w złocistym płaszczu na zamku ojca swe go — jako prawy dziedzic i pan.

Poczuciu sprawiedliwości stało się zadanie.

Ubożuchną treść — opowiedzianą pięknym słowem, które w przekładzie Antoniego Słonimskiego — nabrało takiej melodyjności i takiego wdzięku — jakiej nie powstydziliby się zapewne tekst angielski — rozpięły ręce braci Pronaszków na pięknym i złocistym

tle dekoracyj. — Melodyjność słowa podała rękę melodji barw — które zagrały w sztuce dziwnie delikatką, rozmarzoną gamą.

Wrażenia wzrokowe są tak silne i tak dominujące, że cały szereg scen przemawia do widza tylko barwą i gestem, — odsuwając słowo w cień — wyznaczając mu rolę tylko akompaniamentu. „Złoty Płaszcz” jest widowiskiem — którego się nie słucha — ale na które się patrzy. Dlatego też głównym aktorem w tej sztuce jest braterska spółka Pronaszków. Bez ich cudownej oprawy, bez ich pracy twórczej całe widowisko zgasłoby i zmarniało prawie doszczętnie. Nie należy jednak sądzić, — że „Złoty Płaszcz” dając bogatą kanwę dla pomysłów dekoratora — nie przedstawia również pola dla twórczości aktorskiej, wręcz przeciwnie! Ma tu przedewszystkiem dużo do powiedzenia i dużo do zrobienia reżyser. Trzeba przyznać, że obowiązek reżyserski spełnił pan Strachocki doskonale. Gorzej wypadła natomiast jego gra aktorska. — Coprawda odtworzenie postaci Wu hu-gita — pełnej poetyckiej miękości i bohaterskiego zawadactwa należy do rzeczy bardzo trudnych. Z ról kobiecych na plan pierwszy wysunęła się p. Strońska — jako żalona matka Wu-hu-gita, która płacząco rozwodziła żale nad dolą dzieciątka — a potem — błogosławiła mu z zaświatów.

Ślicznie wyglądała p. Kuncewiczówna w roli „Kwiatu Brzoskwini” — a „Kunina” straszyla potworną maską i dziką furją czarownicy — „Handlarki serc”
P.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Biblioteka Boya,” drukująca cały szereg przekładów najcenniejszych arcydzieł literatury francuskiej, wydała ostatnio dalsze dzieło Balzac'a z cyklu „Komedji Ludzkiej.” „Gabinet starożytności.”

Nakładem firmy wydawniczej Z. Pomarańskiego i s-ki w Zamościu ukazały się w druku dzieła następujące: J. Papini'ego „Od człowieka do Boga” (zbiór rozważań

filozoficzno-religijnych) w świetnym przekładzie W. Rzymowskiego, oraz J. Belcikowskiego „Zagadnienie własności prywatnej w świetle sumienia i woli.”

Dalsze tomy poczytnej „Biblioteki Dzieł Wyborowych” zawierają miłe i z humorem napisane „Wspomnienia myśliwskie” Juliana Ejsmonda, oraz interesującą powieść V. Blasca Ibanez'a „Czterech jeźdźców Apokalipsy.”

Nakładem Wielkopolskiej Księgarni Karola Rzepeckiego opuściło prasę nowe wydanie ogólnie znanej i lubianej powieści J. Deotymy „Panienka z okienka.”

Ostatni (lutowy) numer „Przeglądu Warszawskiego” zawiera fantastyczną „Bajkę” J. W. Goethe'go w znakomitym przekładzie i z niezmiernie interesującym wstępem pióra W. Berenta; Rafała Blütha „Moskiewscy Filomaci,” ciekawy komentarz do humoreski Mickiewicza „Kogo wybrać za męża;” artykuł Jotesa (J. Szwejcera) „O karykaturze,” z licznymi ilustracjami; J. Mirskiego „Dusza teatru;” studjum literackie Włodz. Kopaczyńskiego o mało znanej poecie francuskiej z XVI w. Louise Labé, o którym następuje cykl jej sonetów miłosnych, wybranych i przełożonych przez tegoż autora, W „Miscellaneach” mamy polemikę prof. M. Kridla z J. N. Millerem w sprawie „Pana Tadeusza,” w „Kronice” — obszernie oceny ostatnich nowości wydawniczych i t. d.

Artystycznie wykonane rotograviury, reprodukcje dzieł St. Wyspiańskiego, J. Matejki, A. Orłowskiego i innych — dopełniają bogatej całości tego niezwykle zajmującego numeru.

Nakładem „Naszej Księgarni” (Związku Pol. Nauczycielstwa szkół Powszechnych) ukazała się broszura W. Borowego O „Przepióreczce” Żeromskiego. Jest to „komentarz estetyczny i ideologiczny” do ostatniego utworu scenicznego wielkiego pisarza.

Z PRZYCZYN OD REDAKCJI NIEZALEŻNYCH DALSZEGO CIĄGU DODATKU POWIEŚCIOWEGO P. T.: „OKRĘTY, KTÓRE PŁYNĄ WŚRÓD NOCY” W № 20 NIĘ ZAMIESZCZAMY, NATOMIAST DO № 21 DOŁĄCZONY BĘDZIE TENŻE DODATEK W PODWÓJNYM FORMACIE.

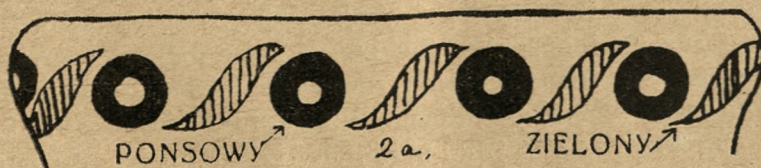
MALOWANE GARNKI



W okresie wyjazdu na wieś, gdzie się nie chce zabierać wazonów i wazoników zdobiących miejskie mieszkanie, a gdzie gałęzie lub kwiaty polne, w wielkie pęki ułożone, upiększają skromny nieraz pokój, możemy łatwo zaopatrzyć się w improwizowane, a bardzo ładne naczynia do układania kwiatów. W każdej okolicy dostać można doniczki, dzbanki lub garnki zwyczajne gliniane. Mogą być polewane, lub nawet nie



PONSOWY
 ZIELONY JASNY
 ŻÓŁTY
 ZIELONY CIEMNY

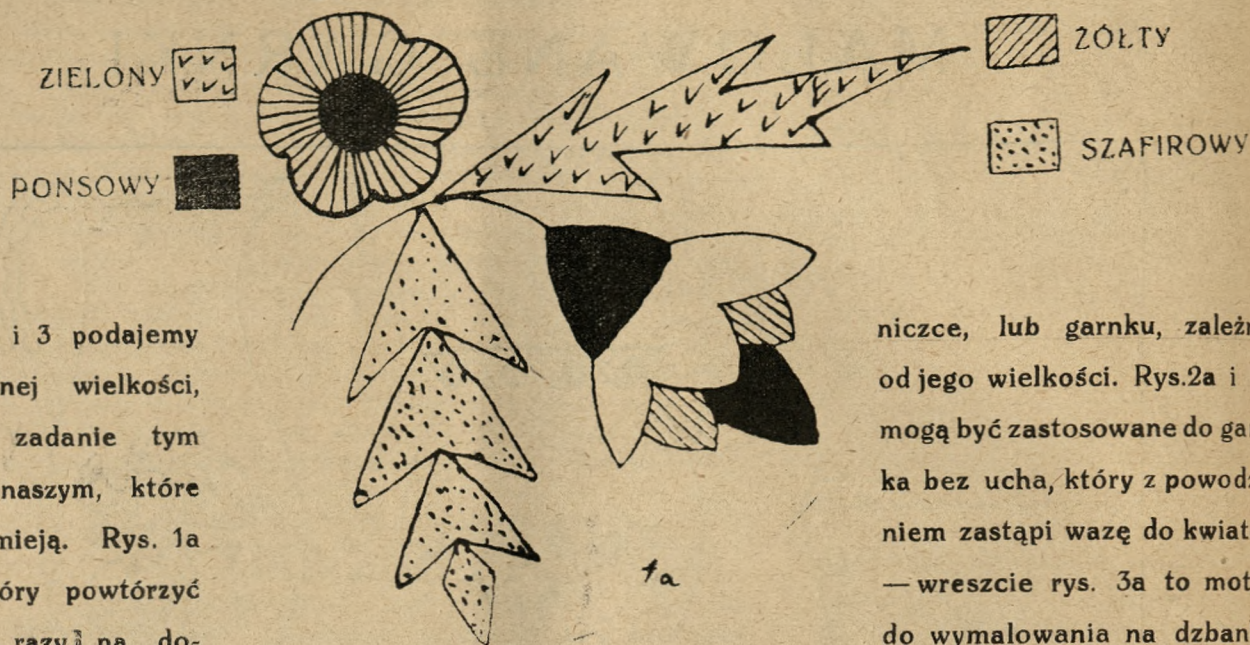


polewane, byle były wypalone i nie przepuszczały wody.

Garnek taki, lub dzbanek ślicznie ozdobić można, malując na nim jakiś łatwy deseń [barwnymi kolorami.

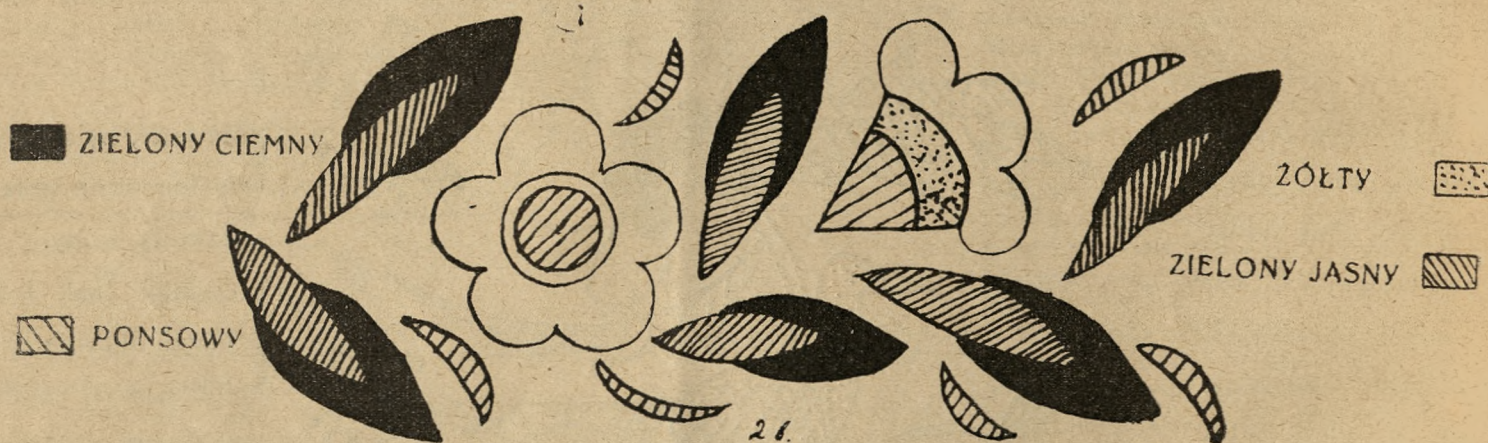
Malować trzeba farbą olejną albo t. zw. emaljową, starając się, wybierać desenie o dość dużych płaszczyznach, gdyż wykończenie drobnych, subtelnych szczegółów na glinianym garnku jest dosyć trudne i nie zawsze się udaje.

Do kilku rodzajów garnków, jak wska-



zuje rys. 1, 2 i 3 podajemy wzory naturalnej wielkości, aby ułatwić zadanie tym czytelnikom naszym, które rysować nie umieją. Rys. 1a to motyw, który powtórzyć można szereg razy] na do-

niczce, lub garnku, zależnie od jego wielkości. Rys.2a i 2b mogą być zastosowane do garnka bez ucha, który z powodzeniem zastąpi wagę do kwiatów — wreszcie rys. 3a to motyw do wymalowania na dzbanku.



LIST Z PARYŻA

Chciałabym poruszyć dzisiaj kwestję bielizny, kwestję niezmiernie ważną ze względu na to, że jest ona jedyną miarą prawdziwej elegancji. Po czym poznać dystygowaną kobietę, jeżeli nie po gatunku jej spodniej garderoby. W tej właśnie dziedzinie więcej niż w państwie sukien, odróżnia się łatwo prawdziwy szyk od fałszywego luksusu, tu właśnie jest pole bardzo szerokie dla wszelkich fantazji aż do wyrafinowanej finezji. Crêpes de chine, piękne jedwabne płótna, praktyczne i grube, jak na ubranie,

crepes Georgette, ściśle i gęste, a wreszcie „voiles de soie“ miękkie, nieporównane — oto materiały królujące w Paryżu w zakresie bielizny.

Kolory różne, a przedewszystkiem cała gradacja różowego, od bardzo lekkiego, zaledwie zabarwionego różu, aż do poziomkowego i malinowego w mocnych tonach. Poza tem trochę cytrynowego, trochę białego, trochę lila. I rzeczywiście, robi się rzeczy cudowne i bardzo proste zarazem. Efekt polega najczęściej na kombinacji dwóch ko-

lorów przez inkrustację. Widać się również ręczne ażury i haft. Do przybrania używa się trochę wstążki z crêpe de chine, albo trochę gładkiego tiulu. Ale co nadaje tym modelom tę czysto paryską markę elegancji, której się łatwo nie imituje, to wykończenie bez skaży, które jest właściwością paryskiej robotnicy — wróżki, co prawdziwe cuda tworzy.

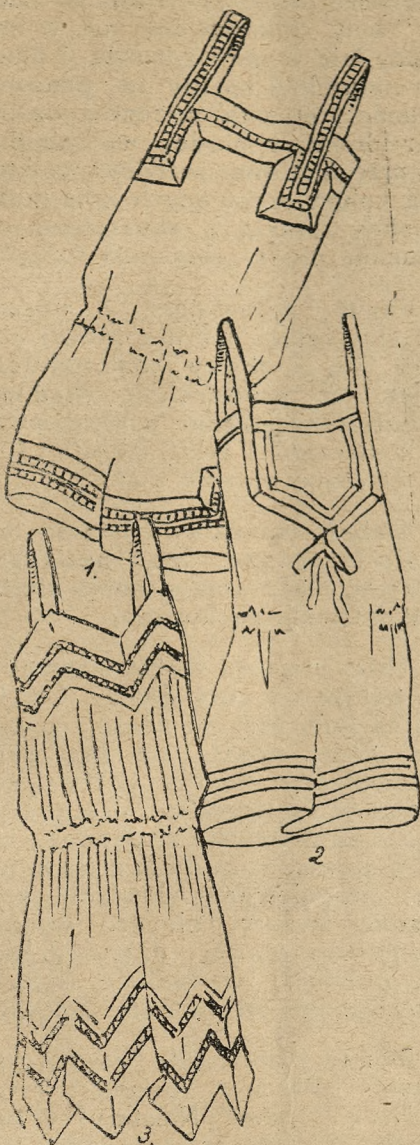
Przy okazji załączam tu trzy modele, łatwe do wykonania i dające pojęcie o rodzajach, jakie się tutaj najczęściej nosi.

Pierwszy, to ładna koszulka, do której zastosowuje się majteczki z białego crêpe de chine'u, wszystko przybrane inkrustacjami z materiału różowego w dwóch odcieniach.

Drugi model to tak zwana „chemise enveloppe,” czyli w jednej sztuce połączenie koszuli z majteczkami. Z płótna jedwabnego „toile de soie” różowego, przybrana jest kilkoma rzędami ażurów ręcznych.

Trzeci model to kombinacja dłuższa nieco, do użytku pod letnie przezroczyste suknie. Z różowego „voile de soie” bardzo jasnej barwy, model ten wykończony jest wstążkami z crêpe de chine'u rozmaitej szerokości, połączonymi ażurami z cienkiego, jedwabnego sznureczka. Przybranie to tworzy w górze karczek, na którym się trzyma ręcznie plisowana kombinacja.

Co się tyczy nocnej koszuli, to najmodniejsza jest koszula z plastronem męskim. kołnierzykiem wkładanym i kieszenią z pięknym monogramem. Pomimo tej pozornej prostoty, niema nic bardziej szykownego, jeżeli tylko gatunek materiału odpowiada wytwornej



robocie gorsu w drobne zakładki, czy w delikatne ażury.

Pyjama wychodzi stanowczo z mody, aby ustąpić miejsca sukni domowej, cieplej, miękkiej, wygodnej, którą się narzuca jako „saut de lit.”

Jak widzicie, Miłe Czytelniczki, wydział bielizny jest bardzo ograniczony, a nawet doprowadzony do minimum. Zimą nosi się krótką koszulkę i majteczki—razem objętość dużej męskiej chustki do nosa; latem jedna „chemise enveloppe” zastępuje koszulę, majteczki, a nawet kombinację.

Gdzie podziały się czasy panowania bogatych koronek, pięknych batystów, cienkich, białych płócien? Gdzie są wyprawy dla młodych dziewcząt, ułożone w staranne stosy, z których unosił się zapach świeżego prania! Gdzie idylliczne czasy prababek i ich wykrochmalonych licznych spódnic, tak sztywnych, że można je było postawić na ziemi.

Jesionowe wielkie szafy rodzinne z paczkami starannie powiązanej bielizny, pójdziecie wkrótce w niepamięć, zostawiając tylko rozbrajające wspomnienie dobrej, minionej przeszłości.

Sekwa

W IMIĘ POSĄGU

Kiedy elegantka z końca ubiegłego wieku stawała przed posągiem Wenus z Milo, pierwsze jej wrażenie streszczało się w okrzyku:

— Ah! jakaż ona gruba w pasie!

Niepokaszlakowanie harmonijne kształty bogini, wytrzymujące po wszystkie wieki najostrzejszą próbę urody kobiecej, jaką jest niewątpliwie nagość, — wydawały się rzeczą nieprzyzwoitą i ordynarną oczom, dla których sztuczny krój sukni, a nie naturalny kształt ciała stał się kanonem piękności.

Wiekі całe sznurówki wytworzyły w kobiecie anormalną cienkość w pasie, przysłowiową cienkość osy, z którą powinny były iść w parze wszystkie inne cechy tego kąśliwego owadu: bezprodukcyjność w zestawieniu z miodopłynną pracowitością krępej pszczoły i... ostrość zjadliwego żądźka.

„Urodzona w niewoli, okuta w powiciu”, kobieta przychodziła na świat i schodziła z tego świata w gorsecie. Dziw, że nie kładziono go jej do trumny, jako godła wierności, której nigdy żadna z nich, nawet najbardziej płocha, nie złamała. Ślepo przywiązana do dobrowolnie narzuconych sobie więzów w imię mody, spaczzonego poczucia piękna i świadomie fałszowanej higieny, niewolnica stawała się królową z chwilą przywdziania tradycyjnego narzędzia tortur. Gorset nie tylko podtrzymywał ją fizycznie, ułatwiał proste trzymanie się, podnosił do godności biustu zdegradowane woreczki piersi, zaokrąglął i uwydatniał zwątlale linje bioder i lędźwi,—on działał również na jej psychikę, podniecał jej nerwy, sugestjonował złudą rzekomej piękności.

Niewiasta bez gorsetu była przeciętną kobieciną, panią Dulską, albo inną „siostrą Maliszewską”. Najczęściej rozczochrana, w przybrudzonej szlafroku na przedwczesie zwiędłych kształtach, powłócząca nogami w przydeptanych pantoflach, udręka męża, domowników i dzieci, ponure widmo zaniedbania i złego humoru.

Gorset zmieniał ją w mgnieniu oka do niepoznania. Jak kawalerski wierzchowiec, kiedy mu nad uchem zagrają pobudkę na trąbce, wyrzucała głową i zdzierała cugle. Nozdrza jej zaczynały grać, oczy błyszczeć, ruchy nabierały dystynkcji, chód stawał się lekkim, głos brzmiał jak muzyka. Poczwaraka zmieniała się w motyla, babina w Grację, Kopciuszek w wielkoświatową damę.

Opancerzona gorsetem, kobieta czuła się pewną siebie, ufna w swoje siły, — stawała się zalotną, wyzywającą, pogromczynią rodu męskiego naoslep idącą do zwycięstwa. Ten szkielet zewnętrzny zeszytywniał jej zwałalą budowę kostną i dawał pion chwilowy jej psychice, pozbawionej kręgosłupa. Ukryty za stalowym pancerzem figlarny Amorek tem pewniej wypuszczał strzały, wyostrzone na bryklach i fiszbinach, maskujących z zaparciem się siebie luki, braki i przerosty zdeprawowanej natury.

Mężczyźni ulegli bezwalki zhiorowej hipnozie.

Mówiło się o pięknej „figurze“ kobiecej, — przemilczano dyskretnie słowo „budowa“. Starano się zapomnieć, że piękno i zdrowie zwykle chodzą w parze. Normalnie rozwinięte ciało kobiece stało się wulgarnym anachronizmem. Poszczycić się nim mogły tylko kobiety z ludu, nie używające nowoczesnych gorsetów i nieliczne u nas modelki, pielęgnujące kształty ciała prosto zawodowo.

Dzisiaj rozumiemy, czem się tłumaczy wstręt kobiet z inteligencji w epoce pozytywizmu do pozowania do aktu, półaktu, lub nawet pod osłoną przejrzystej draperji, podczas gdy w okresie empire'u i romantyzmu, kobiety z najwyższych sfer chętnie uwieczniały piękno swego ciała (Madame de Recamier, Macha desnuda i Macha vestita—Goyi).

Wstręt do obnażania się wynikał u niewolnic gorsetu bynajmniej nie z prudencji lub z istotnej wstydlivosti, czemu zresztą zaprzecza współczesna baletrystyka francuska, ale z instynktu samozachowawczego, z poczucia niebezpieczeństwa, jakie groziło kobiecie rozbrojonej, czytaj: pozbawionej gorsetu. Ten instynkt podświadomie szeptał, że forma biszkopcika nie jest jedynym i najlepszym rozwiązaniem problemu zwycięskiej kobiecości, albowiem zmuszał kobietę do ustawicznego szalbierstwa, do okłamywania siebie i bliźnich w imię mody i rzekomej przyzwoitości.

Idealna kobieta, pragnąca pogodzić modę z higieną, powinna była wyglądać jak pieczona pularda na półmisku: pod jednym skrzydełkiem wątróbka, pod drugim żołądeczek, bo w jamie brzusznej na te organa miejsca nie było.

Nareszcie wrzód pękł. Odezwały się nleśmiałe głosy o ratunek.

Pierwsze próby „powrotu do natury“ były dokonywane nie w imię mody, ale w imię zdrowia i dlatego naturalnie spaliły na panewce. Suknie „reformy“ przenoszące ciężar ubrania z bioder na ramiona, a przeznaczone przede wszystkim dla kobiet pracujących i dla matek zostały narazie z oburzeniem odrzucone przez „elegancki świat“.

Panny dorastające i dorosłe (o przerosłych się nie mówi) unikały ich z obawy kompromitacji, gdyż, jak powszechnie wiadomo, suknie reformowane przywdziewały z konieczności tylko mężatki i to w ostatnim okresie ciąży.

Niebezpieczeństwo narazie zostało zażegnane. Stan posiadania gorsetu nieco zmniejszony, ale bynajmniej nie zachwiany,

Aliści przyszła wojna i wywróciła beczkę do góry dnem. Co było na dole, jest na górze, co było na górze, poszło na sam spód. Detronizacja gorsetu została roztrąbiona na wszystkie strony świata. Zatrjumfowało swobodne, nieskrępowane sznurówką ciało kobiece. Zniwelowano sztucznie spiętrzone fryzury, obcięto wysokie i spiczaste obcasy. Luźna draperja opłynęła wyzwolone kształty zwycięskim sztandarem wolności.

Rychło zabrzmiało rewolucyjne hasło: „Precz z koszulą!“ — Czy w imię piękna? Niestety, w imię mody. Mówię, Niestety, gdyż głębokie dekolty, sięgające z przodu do granic możliwości, z tyłu zaś zupełnie pozbawione granic, stały się, jak każda radykalna rewolucja, bronią obosieczną. Albowiem z biustem, jak to z biustem, zawsze jakoś można sobie poradzić, —zato



plecy! Pożal się Boże! Okazało się, że dla większości kobiet pokazanie łopatek i kręgosłupa pociąga za sobą haniebną kompromitację, w dziedzinie piękna. A nie wszystkie zdawały sobie z tego sprawę...

A gdy sobie nareszcie to uświadomili, przyszła z pomocą moda, ten wykładnik świadomości zbiorowej, czasem wprzężony w jarzmo kaprysu kobiecego, częściej tego niepoohamowanego Bucefała kiel- znający.

Przywrócono koszuli prawa do życia, więcej nawet: uszlachcono ją. Z poddanki uczyniono damę salonową, za cenę zmiany nazwiska. Gdyż odtąd nie koszulą się zowie, ale suknią, kładzie się ją na bieliznę, choć krojem nie różni się od koszulki. Strój skromny, pełen szlachetnej prostoty, nawet ubóstwa linii w porównaniu z panującą przedtem sutą draperją, miałyby jeszcze jedną wielką zaletę z punktu widzenia estetycznego.

Oto przytłumiając to, co bujne, maskując dyskretnie to, co zbyt nikłe, stylizuje harmonijnie zaokrąglone kształty kobiece w smukłą, mniej lub więcej powiewną i giętką sylwetkę.

Zdawało się, że oto [przychodzi do głosu ideał piękna kobiecego, zaklęty w ciepłe marmury żywego posagu. Ale wiecznie czuwa zły duch mody. On to każe kobiecie dzisiejszej zacierać falisty kontur prawidłowo rozwiniętego ciała, spłaszczając i deformując piersi specjalnymi staniczkami, krępując biodra i lędźwie reklamowanymi hałaśliwie pasami. Wszystko, co najdrobniejszą bodaj okrągłością wybuja poza przepisana linię prostą, ulega bezwzględnej banicji. Posąg skrupowany morderczymi powijkami, przeradza się w mumję. Kobieta dobrze zbudowana, rasywa o wysokim nie obwisłym lub zanikłym biuście, o silnej odsadzie biodra, o „boskiej“ spadzistości ramion, o giętkiej kibici i długich nogach staje się wobec kanonów prostolinijności anachronizmem. Trąci myszką, jest niemodna: co gorzej, mało dystygowana

Nawet, jeżeli natura dała jej postać efebal ramiona szersze niż biodra, i tego jeszcze zamało, aby stanąć na wysokości zadania. Powinna być sztywnym kołkiem, manekinem, broń Boże nie kobietą, raczej istotą bezpłciową, wyzutą ze wszystkich cech zewnętrznych rodu niewieściego. Nie węzłem, kwiatem, łodygą nawet nie „bis-

kopcikiem“ prababek, ale geometryczną konstrukcją, zamkniętą nieubłaganiem w puryfański system kilku linii prostych, niezmiennych, nieruchomych, twardych, jak żelazo.

Nasuują się mimowolne analogie ze współczesną architekturą. Nie marmur nie bronz, nie gips lub glina, ale żelazo i beton. Żywe, swobodnie modelujące się pod tkaniną ciało, zostaje zastąpione przez bezduszny materiał, w którym tracą się istotna cecha pięknego ruchu i jego elastyczność.

Cofamy się znów do błogosławionych czasów gorsetu. System jest ten sam, zmieniło się tylko miejsce jego zastosowania. Dawniej sznurówka ścisła kobietę w pasie, obecnie krępuje jej piersi i biodra. Dawniej karykaturalnie podkreślała i powiększała kobiecość jej kształtów, dzisiaj perwersyjnie ją niweluje, z Junony czyniąc kubistyczne pudło, z Djany łowczyni — chłopczycę, la garçonne.

Trzeba mieć nadzieję, że wobec filmowej zmienności form życia współczesnego, i to pudełko do zapalek o problematycznej zawartości palnej, i to „étui“, ukrywające zazdrośnie niewiadomo co: bezcenne klejnoty, czy nędzną imitację, okaże się tylko przejściową poczwarką, z której uleci czarujący moryl: niesfałszowane piękno.

Niemieckie żurnale sygnalizują wprawdzie radośnie, że „dick ist wieder schick“, — ale ta pociecha dobra jest chyba dla otyłej na knedlach i piwie wypasionej Niemkini, nie dla Polki, której zwięzła, szczupła, nerwowa i giętka budowa rzadko kiedy obawia się nadwagi.

Po epoce płaskich piersi, ściętych bioder, zdeformowanych stóp, farbowanych włosów, lakierowanych paznokci, malowanych ust, przyciemnionych brwi, podczernionych oczu, wyróżzowanych policzków, pudrowanego nosa, — musi nastąpić przewrót, musi powiać wicher nowej mody, który zedrze z kobiety wszystkie łuski i pokrowce, podobnie jak wiosna obnaża różę z chochoła.

Ujrzymy wówczas, która jest prawdziwą różą, która badyłem. Objawi nam się w pełni swego blasku niepodrobiona kobieta. Ta, co dziś miga różowemi łydkami po ulicach, wężową głową góruje nad kłębowiskiem dancingu, hieratyczną sylwetką inkrustuje się w pstrą mozaikę wykwintnego wnętrza, jest tylko prześlicznym obiecującym fałszyfikatem.

Spero

DYMEK Z PAPIEROSA

Dymek z papierosa osnuł nas rozkosznie po raz pierwszy jeszcze na długo przed wojną, kiedy śliczną o nim piosenkę, tak interesująco frazował w Momusie, nie żyjący już dzisiaj, a przez całą niemal Warszawę oklaskiwany niegdyś, Lubelski.

Musiał ów dymek czarem jakimś boskim zapaść na dno naszych wyobraźni, kiedy w chwili podanej, powstał ze snu nie jak służa, lecz jak potężny władca, któremu oprzeć się trudno!

Wystarczyło, aby wonne jego chmury skusiły raz i drugi, ukoiliły nerwy, dały chwilę zapomnienia, a już poszło się w jarzmo jego upojne, a zdradliwe, w jarzmo, z pod którego bez wybitnie silnej woli wyłamać się trudno.

Jeżeli pozwalam sobie, w „dziale praktycznym“, mówić o papierosie to jedynie dlatego, że zlewa on się mniej, lub więcej harmonijnie z dzisiejszą, czyli nowoczesną, sylwetką kobiecą, o której właśnie i o umiejętności nadania jej estetycznej linii, tak wiele się w nim mówi!

Zanim wytoczę ciężkie działa argumentów, skazujące na banicję jednego z lepszych i wierniejszych naszych przyjaciół doby ostatniej, winna jestem jedno wyznanie! I ja też pałę! A zatem czy nie jedna przyczyna więcej, aby wolno mi było mówić na temat czegoś, co znam nawskroś, wraz z wszystkimi obłudnemi rozkoszami i całym zacząjonem niebezpieczeństwem! To prawda, że przy papierosie praca idzie jak z płatka, że w zdenerwowaniu jego narkotyczny wpływ daje pewne ukojenie, że przy obowiązkowym bytowaniu w zakażonym powietrzu (sale operacyjne i opatrunkowe w szpitalach wojennych, prosektorja) przynosi ulgę niewypowiedzianą, że zaspakaja głód, którego chwilowo niema czem zasycić, a jednak tylokrotnie zbawczy, uśmiecha się do nas wszystkimi swemi zaletami, aby uspić czujność, a wzięwszy w moc swoją szczyścić się z szyderyczym uśmiechem korowodem służalców i niewolników!

Ślepe poddanie się nałogowi temu świata kobiecego przyniosła ze sobą wojna.

Pozwolę sobie twierdzić, że nie bezmyślny szal, jaki przyszedł po niej, a którego dzieckiem ukochanem jest wszechpotężny Dancing i jego pałace, ale właśnie ten szereg prywatności, trosk i nieszczęść, które przyniosła w fałdach swego żałobnego płaszcza.

Jak już nadmieniałam wyżej, papieros staje się w wielu wypadkach, nieodzownym prawie, a w każdym razie bezcennym sojusznikiem!

Jestem pewna, że połowie kobiet palących dzisiaj nałogowo włożyła do ręki papierosa nie pozą, ale konieczność prawie. Nie wracam obszerniej do przytoczonych powyżej przyczyn, dodam do nich tylko jedną jeszcze, to konieczność czuwania i to czuwania w pełni władz umysłowych, kiedy przemożny sen klei powieki, a ciało, gdyby nie moc ducha i... papieros, ległoby bodaj na brudnych deskach, lub w pyłe przydrożnym, byle ukraść godzinę snu!

A więc część z nas jest usprawiedliwiona, pozostaje jeszcze pytanie, czemu wyswobodzone z tych ciężkich, koszmarem dziś tchnących chwil, nie zwalczyłyśmy w sobie zgubnego i tak bardzo kosztownego nałogu? Odpowiedzią niech nam będzie, że lazna dłoń tegoż nałogu, który rządząc w Polsce od czasów odkrycia Ameryki przez Krzysztofa Kolumba, zaszczipiony na gruncie naszym przez uczestników tej wyprawy, pomimo wielu wszechświatowych represyj, kar cielesnych i grzywien za hołdowanie mu. wyznaczanych, nietylko nie został wykorzenionym, ale rozsiadł się buńczucznie na tronie wszechłabości ludzkiej i dotąd nam panuje! Zrozumienie jakiejś opętanej siły tego nałogu wypowiada się w tem, że kiedy we Francji kardynał Richelieu grozi palącym chłostą i więzieniem, w Rosji, Turcji, i Persji nakładają na nich srogie kary, a w Szwajcarii wysokie grzywny pieniądze, przedsiębiorcza Anglja, doceniając jego siłę, pierwsza wyzyskuje ją w celach praktycznych i nakłada coś w rodzaju monopolu, na surowiec tytoniowy, a za jej przykładem idą niebawem wszystkie inne państwa, czerpiąc duże dochody z tego szczęśliwego pomysłu. Trudno się dziwić, że wobec tego palaczy już nie wyklinają i nie chłosczą, przeciwnie cenią, jako filary dobrobytu państwowego i równowagi państwowych budżetów.

Ale teraz wróćmy z dalekiej ścieżki, którą kroczyła chęć usprawiedliwienia słabości naszej, słabości, w oceanie której, wina jednostki niknie, wobec winy wszechludzkiej, a powracając, pomówmy o kobiecie i papierosie, który w ustach jej jest — kaprysem tylko.

Igraszka ta zaczyna się zwykle w poczuciu, że papieros doda nam egzotycznego uroku! Po-drażni kogoś bardzo nas kochają-

cego, który drży, abyśmy nie poszły w jarzmo nałogu, a którego za winy najczęściej urojone, właśnie srogo ukarać trzeba, wreszcie jest, pewnego rodzaju, jaskrawym buntem przeciwko zależności i rzućciem wyzwania władzy starszych, co przy konsekwentnej i trwałej walce, zwykle kończy się zwycięstwem i prowadzi za sobą szereg innych ustępstw, bo wszak wiadomo, że pierwsze zdobyć najtrudniej! No, a na końcu wymówić muszę straszne słowa „owczy pęd!”

Otóż jeżeli znajdzie się, wśród młodego pokolenia jednostka, która przyniosła ze sobą rzadki dar wierzenia w cudze doświadczenie, a z nim jeszcze rzadszy korzystania z niego, niech mi nagrodzi te godziny ciszy nocnej, w której wzięłam się do walki z wiatrakami, w imię jej dobra i jej podobnych i niech nigdy nie da się skusić i namówić na obłudną próbę! Spróbować, to znaczy zrobić krok najtrudniejszy, bo pierwszy. Za nim przyjdzie ambicja, która nie pozwoli krztusić się i odrzucić precz papierosa, za nią chęć spróbowania raz jeszcze, aby się przekonąć dlaczego nas dławi to, co innym tak dużą dozę daje rozkoszy, a potem zamyka korowód zrozumienia rozkoszy i nałóg gotów!

Trzeba podzielić namiętność palenia na dwa okresy. Okres nałogowego palenia, najczęściej beznaziejny i okres próby, którą przy dobrych chęciach zawsze przerwać można. Najważniejszym jednak jest nie próbować nigdy i powiedzieć sobie z całą stanowczością, że pokusa ta nigdy dla nas istnieć nie będzie.

Papieros w ustach kobiety bardzo rzadko jest estetyczny, podnosi jej urok i podkreśla urodę, nadając sylwetce pewne wykończenie. Dzisiaj częściej może, niż kiedykolwiek spotkać można kobietę, z którą harmonizuje, a to dzięki modzie krótkich włosów i tak często spotykanemu typowi „a la garçonne”. Ale czyż zdrowe i piękne zęby o białości nieskazanej nikotyną, świeży młody oddech, zdrowe nerwy, głos czysty i dźwięczny, na który tylokrotnie zgubnie działa papieros, atakując krtań i struny głosowe, nie zastąpią chmurki dymu, z której wylania się twarzyczka o krótkich puklach, a błędnym ognikiem żarzącego w ustach papierosa wabi i przyciąga?

Wiemy przecież aż nadto dobrze, że po alkoholu, nikotyna jest narkotykiem działającym, najszkodliwiej na organizm ludzki, a na system nerwowy w pierwszej linii. Częste wypadki uczą nas, że nad-

mierne wprowadzenie jej do organizmu, przynosi ze sobą opłakane skutki przy nadużywaniu, lub specjalnej podatności, dochodzi nawet do zatrucia chronicznego i psychozy, wyradzającej nieraz, prócz osłabienia, braku woli, halucynacji, obłudnych idei i skłonność do samobójstwa. Stan taki nie opanowany w zarodku, prowadzi niejednokrotnie do stanu nieuleczalnego. Nikotyna działa też bardzo ujemnie na narządy trawienia, a tem samem grozi zachwianiem ogólnej równowagi organizmu.

Czy trzeba więcej i jaskrawszych dowodów, aby te z nas, które jeszcze nie palą, nie paliły nigdy! Jakże może matka wpływać na syna, którego wątył nieraz organizm musi odczuć zabójczy wpływ nikotyny, aby nie palił, jeżeli przemawiać będzie do niego z papierosem w ustach? Jakże współdziałać w ciężkiej i nad wyraz denerwującej walce z samym sobą, podjętej przez ojca, lub męża, którego chore serce, krtań, płuca, czy żołądek nie znoszą papierosów, jeżeli dom przesiąknięty jest zapachem tytoniowego dymu? A wreszcie, czyż licuje z wykwin-tem i urokiem, jakie winny zawsze otaczać kobietę, nawet tę, której skromne środki i skromniejsza jeszcze garderoba, pozwalają jedynie na ten najistotniejszy wykwin, to jest na czystość w najszerszym tego słowa znaczeniu, jeżeli wszystko co ją otacza przesiąknięte jest dymem i piętno tego dymu na sobie nosi?

A budżet? skromny budżet kobiety pracującej, która za pobierane wynagrodzenie zaledwie siebie utrzymać może, a jest niejednokrotnie skazaną na utrzymywanie matki, lub kształcenie rodzeństwa, jeżeli nie samodzielne chowanie i leczenie dziecka, czy dzieci? Jakimż ciężarem staje się wówczas nierozważnie nabyty nałóg, nałóg kosztowny, a przytem szkodliwy.

Nie wołam już do tych, które musiałyby zwalczać same siebie. Wiem, że głos mój, byłby głosem wołającego na puszczy, ale biję na twogę w dzwon, którego rozkołysane serce, niechaj przemówi do tych, które są jeszcze wolne, niech nadrastające pokolenie kobiece będzie tem, które zawróci z drogi, na którą, w mylnem poczuciu, wkroczyły ich poprzedniczki!

Wiara w słuszność propagandy, którą słowami temi rozpoczynam, jest we mnie tak wielką, że nie boję się nawet zarzutów, na jakie słusznie zasłużyć sobie mogę od kierowników Monopolu Państwowego, zarzutów działania przeciw-

ko instytucji Państwowej, która utrzymuje podobno cztery ministerstwa. Te cyfry właśnie są mi osłoną, bo cóż za uszczerbek dla Skarbu, jeżeli głos mój dosięgnie młodych istnień kobiecych, i uratuje je od trucizny, jaką wchłaniają w siebie z poetycznym dymkiem z papierosa, kiedy pozostaną mu zawsze, niezliczone rzesze, które najciężej zapracowany grosz, złożą na ołtarzu namiętności i obejdą się prędzej bez chleba, dla siebie i swoich dzieci, niż bez papierosa!

ZDOBIENIE BALKONÓW I OKIEN

Balkony i okna mogą być przystrojone różnorodnymi kwiatami, które bawią oko patrzącego zbliżka bogactwem barw i kształtów, a wokół często miłą woń rozsiewają. Ale na odległość gmatwanina kolorów nie robi dodatniego wrażenia, nie wywołuje silniejszych efektów. To też balkony i okna widoczne zdaleka powinny być przystrojone bardziej jednolicie, kwiatami o kolorach wyraźnych, zdecydowanych. W tym celu dobieramy jeden gatunek roślin, albo dwa takie, których kwiaty bądź stanowią harmonizujące odcienie jednej barwy (np. czerwony i różowy), bądź dają silne kontrasty (np. czerwony z białym, czerwony z fioletowym, biały z różowym itp.).

Jednostajne obsadzanie skrzynek ma szczególniejsze znaczenie przy zdobieniu całych domów, jak to widzimy w Warszawie na gmachach niektórych większych przedsiębiorstw, albo na wytwornych letniskach, gdzie całe wille są ożywione powodzią kwiatów, spływającą ze wszystkich ram okiennych, ze wszystkich gzymsów i obramień balkonów. Przykładów odnosnych możnaby przytoczyć wiele, niestety nie z polskich letnisk, uzdrowisk i miast — śmietników, które oby w jaknajbliższej przyszłości usprawiedliwiły urzędowe swe miano „miast ogrodów”.

Drugim warunkiem, który trzeba uwzględnić przy wyborze roślin do skrzynek na balkonie, jest „wystawa”, czyli stopień usłonecznienia.

Najlepiej są oświetlone balkony, zwrócone ku południowi, ale równocześnie są one narażone na całą spiekotę, potęgowaną w miastach promieniowaniem ciepła przez rozgrzane mury i odbijaniem promieni od jasnych przeważnie lic domów.

Nadmierne ciepło wywołuje tak silne parowanie wilgoci przez liście

że korzenie nie mogą doprowadzić dostatecznych zasobów wilgoci i rośliny często wędną, pomimo obfitego polewania.

Dlatego balkony południowe trzeba zdobić roślinami, odpornymi na suszę, jak rozpowszechnione ogólnie pelargonie (muskatele) zwykle i bluszczolistne, jak petunie (zawieratki) lobelia (stroiczcza), nasturcja, rezeda, lwie paszcze, maciejka, a w miejscach mniej skwarnych: gwoździiki, lewkonje, płomyki letnie, werbeny, jastruny, aksamitki, i inne.

Na dobrze oświetlonych balkonach i oknach wschodnich i zachodnich udadzą się wszystkie rośliny wyżej wymienione, a ponadto mogą być stosowane: fuksje (ułanki), ukośnice, ciągle kwitnące oraz ukośnice bulwiaste.

Tu trzeba wspomnieć jeszcze o jednym czynniku, utrudniającym w miastach zdobienie balkonów. Jest nim wiatr. Ścieśniony wśród wysokich murów, wiatr chodzi w miastach ulicami i gdy się rozhuła — robi dotkliwe spustoszenia na szczupłych naszych grzędach, zawieszonych wysoko w powietrzu i ze wszystkich stron dostępnych dla jego podmuchów. Z tem trzeba się liczyć i rośliny wrażliwe na wiatr, albo pędzone przez niego fale siekającej ulewy, stosować tylko na balkonach osłoniętych, więc np. położonych we wnękach domów lub od strony zacisznego zwykle podwórza.

Przepiękne ukośnice bulwiaste, o dużych liściach i olbrzymich różnobarwnych kwiatach, wielkości dłoni ludzkiej, cierpią od wiatru dotkliwie.

Po przejściu burzy pozostają żalossne szkielety połamanych, mięsistych pędów, z których zwisają szczątki poszarpanych kwiatów i liści. Wprawdzie żywotne rośliny pogoją rany, i znowu pokryją się nowymi pączkami — lecz bólu miłośnika, patrzącego na zrużone spustoszenie, i czasu straconego już to nie nagrodzi!

Do roślin wrażliwych należą też niektóre pelargonie odmian bardzo pięknych, ale właśnie wskutek swej czułości, mało rozpowszechnionych, więc pelargonie białe, różowe, pelargonie z oczkiem wewnątrz kwiata, albo o płatkach węższych, niż normalnie. Można je polecać na balkony słoneczne, umieszczone we wnękach domów. Wrażliwe są też nieocenione petunie, ale odrastają one tak szybko, że rychło wracają do poprzedniej krasy, a ułamane przez wiatry pędy pokrywają wspaniałymi kielichami, świetnie trzymają się w wazonach i dają nam wieczorami subtelnym zapachem.

Najtrudniejszym zadaniem jest zdobienie balkonów, zwróconych ku północy. Tu trzeba odróżnić dwa rodzaje balkonów, wychodzących na rozległą, zalaną światłem przestrzeń wolną, albo przynajmniej na odbijający dużo promieni słonecznych dom, jasno malowany, po przeciwległej stronie ulicy, — oraz balkony pozbawione wszelkiego światła, nawet odbitego, w wąskich ulicach, albo w głębokich, jak studnia podwórzach.

Obsadzanie balkonów ostatniego typu byłoby pracą bezcelową. Światło jest roślinom potrzebne do życia narówni z powietrzem i wodą. Na tych, lepiej oświetlonych balkonach można będzie spróbować szczęścia, sadząc mało wymagające rośliny kwitnące, albo rośliny, zdobiące tylko liśćmi.

Z kwitnących udają się ukośnice, zwłaszcza ciągle kwitnące (semperflorens), petunie, lobelia, z niekwitnących:

Gnaphalium o pięknie spuszcających się pędach, pokrytych omszonymi, niby szarotki, listkami, bluszcz, żywotniki, małe świerczki, i odporniejsze rośliny doniczkowe, np. Aspidistry, Agawy, Yucci, Draceny (Smokowce) itp.

Po za roślinami, dosięgającymi niewielkich zwykle wymiarów, możemy sadzić do skrzynek pnące i okrywać niemi specjalne rusztowania, przekształcając otwarty balkon na zamkniętą altanę, albo możemy prowadzić je po ścianach domu, po słupach czy wzdłuż ramy okiennej.

Z roślin tego typu najdośćpniejsza dla wszystkich, bo najłatwiejsza do wychowania, a bardzo wdzięczna, jest fasola bukietowa turecka, strojna w obfite grona jaskrawych, czerwonych kwiatów. Dobry jest powój albo Convolvulus, jednak zamyka on kielichy, podczas operacji słonecznej. Piękne, duże liście ma sępota pnąca (Cobaca), dobrze kwitnie nasturcja, pięknie się mieni pstrolistny chmiel japoński, a z pnączy trwałych krwawi się pod jesień

szkarłatem i purpurą dzikie wino którego bryłę korzeniową trzeba jednak na zimę zabezpieczyć od mrozu albo wraz z donicami przemieścić do piwnicy.

Jakże teraz nasz ogródek w lecie pielęgnować należy?

Przodemysłem dbać o to, żeby roślinom nie brakło wilgoci. Więc polewać ziemię w skrzynkach, jak tylko przysycha, normalnie w dni pogodne raz na dzień, a podczas upałów rano i wieczorem. Przy jednorazowym podlewaniu dawka wody wieczorem jest cenniejsza niż rano, bo rośliny przez całą noc czerpią zapas wilgoci na skwar dzienny.

Z polewaniem można połączyć zasilanie roślin: raz na tydzień rozpuścić w wodzie mieszaninę nawozów pomocniczych, albo rozrobić krowieńca. Zawsze jednak czy to czystą wodą, czy z nawozem, lać trzeba tak obficie, żeby woda nasycała całą warstwę ziemi i zaczęła uchodzić przez otwór w dnie skrzynki. Dlatego zwykły deszcz nie może zastąpić polewania.

Ale podczas upałów obfite liście parują więcej wody, niż korzenie mogą jej pobrać z ziemi. Powinniśmy więc przyjść z pomocą, dostarczając roślinom wilgoci przez liście. W tym celu należy zraszać całe rośliny przy pomocy zakończonej sitkiem szprycy czy innego rozpylacza. Im częściej zraszać będziemy, tem dla roślin lepiej, tem łatwiej obronimy je od groźnego szkodnika czerwonego pajęczka, którego sprzymierzeńcem są skwary i susza. Ale nie wolno ani polewać, ani zraszać roślin podczas silnej operacji słonecznej. Więc rosimy je na dzień dobry, zraszamy, gdy tylko słońce się skryje za węgiew domu, i z rozpylaczem w rękę powiedzmy im dobra noc. A w zamian snopami kwiecica otulą wdzięczne rośliny nasze okna i balkony.

St. Schönfeld.

ODŚWIEŻANIE I PRANIE LETNICH SUKIEN

Wiosna już w pełni, czas więc najwyższy pomyśleć o odświeżeniu i przerobieniu zeszłorocznych, letnich sukien, aby, szybko zazwyczaj przychodzące ciepła nie zaskoczyły nas nieprzygotowanych.

Moda mało się zmieniła od zeszłego roku, zawsze noszone są suknie koszulkowe, całe lub z odcinanymi falbanami, a tak zwane „casaques“ z pod których wychodzi tylko kawałek spódniczki, są jakgdyby stworzone do przerabiania

DR. MED.

J. ŚWITALSKA

Choroby skórne, kosmetyka, wener.

Wyłącznie dla kobiet od 5—7.

KRUCZA № 31, mieszkania 3.

Telefon 102-77.

sukien i robienia z dwóch jednej, tembardziej, że mięsza się kolory i materiały, a dobór ich zależy od osobistego estetycznego poczucia. Rękawy coraz częściej spotykamy długie — choć i krótkie przy letnich sukniach będą noszone. Suknie trochę dłuższe i u dołu szersze. Wstawianie plisowanych boków i kloszowe falbany pomagają do rozszerzenia wąskiej zeszlórocznej sukienki. W letnich żurnalach, kto umie patrzeć, łatwo dojrzy zwrot praktyczny — każda prawie suknia zrobiona jest z dwóch materiałów, tak jakby przewidywano i chciano ułatwić wszelkie przeróbki. Dzisiejsze, bardzo łatwe do wykonania, fasony umożliwiają nietylko przerobienie ale nawet zrobienie nowej sukni w domu, a cóż dopiero z pomocą o tyle o ile zdolnej krawcowej.

Materiały staniały, prawdziwy koszt sukni — to jej robota, wyśrubowana do niemożliwości. Wszelkie produkty, a tem samem życie, bezwzględnie staniały — robota nie tylko, że nie tanieje, ale co raz droższa. I jakż tego rezultat? niezadowolone ogólne i dużo bezrobotnych pracownic igły. Klientki zrażone wygórowanymi cenami nie dają roboty — właścicielki pracowni narzekają na jej brak — a pracownice na niskie wynagrodzenie.

Pożytek z tego stanu jest jedyny, że dużo pań nie będąc poprostu w możności płacić sum ogromnych za robotę — bierze się na odwagę i zaczyna szyć w domu, a przekonawszy się, że „nie świeci garnki lepią“ i oszczędziwszy na robocie, może tem samem mieć więcej ślicznych barwą i deseniem letnich sukienek. Przed przerebieniem zeszlórocznych sukien, trzeba je zwykle uprać, podają więc kilka sposobów prania, delikatnych, kolorowych materiałów, aby nie straciły barwy, czyli nie wyprały się, jak pospolicie nazywają.

Do prania kolorów nie używa się nigdy mydła, a szczególnie nie pociera się nim materiału, nawet zwyczajne perkale i żagnoty pierze się w zimnej miękkiej wodzie mocno osolonej z dodaniem przestudzonych mydlin z rozgotowanego barskiego mydła. Do wypłukania dodaje się trochę sproszkowanego ałunu. Przed praniem każdą rzecz trzeba starannie wyczyścić i wytrzeć z kurzu, bo ten po zamoczeniu jeszcze mocniej wgryza się w materiał.

Delikatne, cienkie materiały łatwo wypierające się — pierze się w kartoflach lub otrębach w sposób następujący: 1. Pranie w kartoflach: obrane i dobrze umyte kar-

tofle utrzyć na tarce i masą tą nacierać tak jak mydłem przeznaczone do prania materiały, polewając zimną wodą — nie tylko będą czyste, nie tracąc koloru, ale dzięki krochmalowi zawartemu w kartoflach uzyskają sztywność i pozór nowości. 2. Pranie w otrębach: trzeba zaparzyć otręby ukropem, rozetrzeć je wałkiem na donicy, aż do białości, rozprowadzić niebardzo rzadko ciepłą miękką wodą i nacierać niemi rozłożone w balji materiały dopóki nie będą zupełnie czyste, wypłókać kilka razy w obfitej zimnej wodzie nie wyciskając wytrzeć i zaraz wyszyć, koniecznie w cieniu, aby na słońcu nie spęzły. Można także, jeśli suknia popruta ułożyć bryty jedno na drugich przekładając je prześcieradłem, aby nie zaciekły. Skoro przeschną, grubsze materiały maglować, cienkie prasować wilgotne po lewej stronie niezbyt gorącym żelazkiem.

Kolor różowy po wypraniu jednym z wyżej wskazanych sposobów namoczyć zaraz w dobrze kwaśnej, przegotowanej i przestudzonej serwatce, a jeszcze żywszym się stanie.

Po upraniu liljowego koloru namoczyć go w dobrym, mocnym ługu, który bardzo podnosi piękność tego koloru.

Zółty kolor pierze się najlepiej w zimnej, miękkiej wodzie, nacierając materiał żółtkami od jaj, jak mydłem. Jeżeli kolory zielony, czerwony i niebieski zbledną w praniu, dla ożywienia ich dodać do wody przeznaczonej do płukania kilka kropel esencji octowej lub trochę kwasu cytrynowego.

Biały muślin lub etaminę prać barskiem mydłem w zimnej wodzie, nie wykręcając, tylko wyciskając. Do lekkiego krochmalu dodać trochę uszkobanej cieniutko stearyny, następnie trzepać aż dobrze przeschnie i zaraz prasować po lewej stronie. J. S.

następujący sposób: Zagnieść kručhe ciasto, z 400 gr. mąki, 200 gr. cukru i takiej ilości tłustej śmietany, aby się ciasto dało cienko wałkować, połowę tego ciasta wyłożyć na brytwanę; 600 gr. rabarbaru oczyszczonego z włókien i pokrajanego w cienkie płatki ułożyć na tem cieście, posypać szklanką cukru z łyżeczką utłuczonego cynamonu, przykryć drugą połową ciasta, posmarować rozbitym żółtkiem, przysypać kryształem i upiec w dobrze gorącym piecu.

Na gorąco i na zimno taka szarlotka nie ustępuje w niczem jabłecznej lub agrestowej.

Na kompot należy używać najgrubszych i najjaśniejszych łydyg rabarbaru. Po oczyszczeniu ich z włókien i pokrajaniu w drobne kawałki wrzucić w wodę, aby nie poczerniały od noża.

Na pół kilo oczyszczonego już rabarbaru wziąć ćwierć kilo cukru i dwie szklanki wody, zagotować, na gotujący ulep wrzucić kawałki łydyg, gotować aż się zrobią przezrocyste, uważając jednak, aby się nie rozpadły, przelać w salaterkę, dobrze wystudzić i podawać.

Z zieleńszych i cieńszych łydyg rabarbaru lepiej jest zrobić kisielek.

Łodygi oczyszczone z włókien pokrajać na nieduże kawałki, rozgotować w wodzie, na pół kilo łydyg biorąc około trzech szklanek wody, przezasować przez sito, wysypać szklankę cukru, zaprawić pół szklanką mąki kartoflanej, rozbitej pół szklanką wody, zagotować raz i wylać do salaterki. Gdy dobrze zastygnie, podawać z cukrem.

Mleka do tego rodzaju kisiela podawać nie można, gdyż w połączeniu z kwasem rabarbaru mogłoby ono spowodować zaburzenie żołądkowe.

Najmniej znanym jest użytek z liści rabarbarowych, które w handlu zwykle wyrzucają, odrzucając je od łydyg, tymczasem są one bardzo smaczne i dają zupełniej delikatniejszą od szczawiowej. Liście starannie przebrane należy raz zagotować we wrzątku, odcedzić na sito, usiekać drobno jak szczaw, wrzucić na rosół mięsny lub smak z włoszczyzny, zależnie od tego, czy zupa ma być mięsna lub postna, zagotować parę razy, zaprawić łyżką mąki, rozbitej w szklance wody, zagotować raz jeszcze, nakoniec włożyć kwaterkę śmietany, zagrzać nie gotując już więcej i podać z jajami gotowanymi na twardo.

SMARDZE W ŚMIETANIE.

Grzyby najwszeńsze, smardze, dobrze przyrządzone, są wyborne.

Przepisy gospodarskie



RABARBARUM.

Zdrowa i smaczna jarzyna, wczesną wiosną mogąca w kuchni zastąpić jabłko. Doskonałą szarlotkę, z rabarbarum można zrobić w

Nie należy ich nigdy długo moczyć, gdyż same przez się są bardzo wodniste.

Jak można najstaranniej oczyścić je ściereczką z mchu i ziemi, poprzekrawać na części i wrzucić na dużą ilość wrzącej wody, zagotować raz, wazową łyżką wyjąć na druzlak.

W taki sposób wszelkie pozostałe części ziemi i mchu pozostaną na dnie rondla.

Na kilo smardzów, zesmażyć w dużej łyżce masła dwie spore cebule, drobno pokrajane, gdy stracą surowiznę, wyłożyć smardze, osolic, pieprzyć i dusić tak minut piętnaście, poczem wlać dwie łyżki mąki, rozbite w szklance rosołu lub wody, zagotować, nakonec dodać szklankę dobrej, kwaśnej śmietany i już nie gotować, tylko rozgrzać mocno, włożyć jeszcze łyżeczkę herbatnią masła śmietankowego i podawać obłożone kotle-tami cielęcymi, wołowymi, ryżowymi lub grzankami z bułki, zrumienionymi na maśle.

Do codziennego obiadu rodzinnego można do takich duszonych smardzów, podać kartofle z wody, lub kluseczki kartoflane.

MOZAIKOWA GALARETA.

Czterysta gramów cukru rozpuścić w litrze wody, wcisnąć w to sok z czterech cytryn, skórkę otartą na delikatnej tarce z jednej cytryny, duży kieliszek wina białego i 10 listków żelatyny białej, namoczonej w pierw kwadrans w zimnej wodzie, zagotować raz, precedzić przez muslin lub gęste sitko.

Uprzednio ugotować dwa jabłka obrane, sześć połówek brzoskwiń suszonych, 12 moreli suszonych i 12 śliwek francuskich z paru łyżkami cukru jak na kompot, ostudzone owoce pokrajać w drobną kostkę, dodać malinową pomarańcz, podzieloną na ćwiartki i jeśli jest plasterek ananasa świeżego lub z konserwy. Do formy nalać na dwa palce czystej galarety i zastudzić na lodzie, z resztą galarety wymieszać owoce wlać do formy i zastudzić razem.

Chcąc ładniej podać, ułożyć owoce, różnokolorowe symetrycznie na warstwie zastudzonej galarety i zalać resztą płynnej.

Po dokładnem zastudzeniu formę na sekundę zanurzyć w gorącej wodzie przykryć półmiskiem i wyrzucić ns ten półmisek. Bardzo ładnie wygląda.

Ta ilość żelatyny jest dostateczna w zimie, latem należy na tę proporcję brać piętnaście listków żelatyny.

MLECZKO Z PALONEGO CUKRU.

Łyżkę kryształu zrumienić na patelni, gdy nabierze ciemno żółtego koloru, wlać pół filiżanki wody, wymieszać drewnianą łyżką, aby cały karmel się rozpuścił, wlać do filiżanki i ostudzić. Trzy szklanki niezbieranego mleka rozbić z pięciu całemi jajami i pół szklanką cukru, dodać płyn z palonego cukru. Formę budyniową wysmarować masłem, wlać przyprawę, nakryć formą, wstawić w rondel z gotującą się wodą, która na dwa palce nie powinna dochodzić do pokrywy, aby przy gotowaniu woda do środka nie trafiła. Po trzech kwadransach gotowania formę otworzyć i poprobować mleczek nożem, jeżeli się dobrze ścięło, wyjąć formę i wynieść na chłód. Przed podaniem wyrzucić z formy na półmisek i podać z syropem owocowym lub z konfiturami. Można też do tej leguminy podać sos waniljowy zaciągany żółtkami lub obłożyć wkoło lekkimi biszkopci-kami, używanymi do czekolady.

Pani Elżbieta.

DOBRE RADY

Pod pęknięcie w jedwabiu, który cerowany zawsze źle wygląda — podkłada się gumowany papier i prasuje się gorącym żelazkiem. Bardzo mało będzie znać uszkodzenie, a po odlepieniu się papieru łatwo go zastąpić innym.

* * *

Poczerniałe naczynia blaszane pokryć całe następującem ciastem: czysty dobrze dopalony popiół zmieszać z olejem konopnym na gęstą dosyc papkę i tak pozostawić w spokoju. W parę godzin później wytrzeć miękką szmatą — a najstarsze będą świeciły się jak nowe.

Korespondencje działu praktycznego

Pani M. M. z Zduńskiej Woli.

Nie znając bliżej warunków, w jakich Pani fabrykowała swe wino owocowe, trudno określić przyczyny jego skwaśnienia. Po zasięgnięciu porady u znanych fachowców, przypuszczamy, że zaszła w niem fermentacja octu, spowodowana dostępem powietrza do wina. Nawet w czasie pierwszego okresu burzliwej fermentacji należy moszcz izolować od powietrza rurką z gliceryną, lub balonikiem z kwasem siarczanym. Wino zaś już zla-

ne w czystą beczkę i wysiarkowane lub butelki czyste i doskonale wysuszone, jeszcze bardziej od dostępu powietrza chronić należy, tem bardziej, że wina wyrobu domowego, robione bez spirytusu lub drożdży winnych, nie mają więcej jak 10% mocy i są w ogólności trudne do przechowania. Chcąc powtórzyć próbę wyrobu win z jabłek, niech się Pani zwróci do Towarzystwa Ogrodniczego, Warszawa, Bagatela 3, i sprowadzi sobie według jego wskazówek broszurę odpowiednią do rodzaju i ilości produkcji, którą się Pani chce zająć.

Zonie poręcznika.

Dodatkowe informacje, przesłane przez Panią, tyczą się tylko miejscowości, w której Pani mieszka, o cenach produktów podstawowych dalej nic nie wiemy, musimy więc przyjąć ceny przeciętne miast prowincjonalnych.

Ma Pani mieszkanie rządowe, uczy Pani swego synka sama, po potrąceniu opłaty służącej, opału, światła, potrąceń pułkowych pozostaje Pani a raczej Państwu 165 złotych. Jest to suma, którejby Pani pozazdrościła niejedna rodzina warszawska, a przecież Warszawa pod względem życia jest dwa razy droższa od prowincji. Otóż ogromnie trudno jest układać budżet ludzi, nie znając ich gustów i przyzwyczajęń. Jabym tę sumę rozdzieliła mniej więcej tak: Życie: 18 kg. mięsa—18 zł. 4 kg. masła—16 zł. 4 kg. słoniny—6 zł. 6 kg. mąki psz.—4 zł. 4 kg. kasz różnych—2,40, 90 kg. kartofli i jarzyn—4 zł. 30 kg. chleba—12 zł., 6 kg. cukru—6,60, 45 jaj—3,60, 45 litrów mleka—4,50, 100 gr. herbary—1,50, 1/4 kg. kawy (na czarną)—1,80, 10 kg. owoców krajowych—5 zł., 4 kg. soli—1,20, przyprawy kuchenne 2 zł., 1/4 kg. drożdży—75 gr., wódka, piwo, wędliny, ciastka jako „extra“ 10 zł.—razem 95 złotych 35 gr.

Odżywianie się czterech osób proste, lecz bardzo obfite, pozwalające nawet na małe przyjęcie kawą z deserowemi ciastkami lub wieczorną herbatką z lekką przekąską. Na ubranie 50 złotych miesięcznie czyli 600 zł. rocznie z czego 100 złotych garnitur pana domu, 100 złotych sukna zimowa i 2 letnie, uszyte w domu i kapelusze letni lub zimowy, 50 złotych ubranka dwa dla chłopca, 150 złotych co drugi rok okrycie na zmianę dla pana i pani, dla dziecka okrycie kogoś z rodziców się przerobi, 100 złotych bielizna i jej remont, 75 złotych 3 pary obuwia dla rodziny, 25 złotych na drobiazgi, 5 złotych na pomoce szkolne dla chłopca, 16 złotych na książki, gazety i rozrywki kulturalne.

P. W. W.

W sprawie szkoły freblowskiej należy się zwrócić do Tow. Wychowania Przewodnego — Nowy Świat 19 m 3, gdzie pani znajdzie wszelkie potrzebne informacje.

Meble dębowe politurowane, odświeża się za pomocą następującej masy: 4 części wosku żółtego jedną część kałafonji rozpuścić na wolnym ogniu, po ostudzeniu dodać jedną część oleju terpentynowego i wymieszać, a gdy zupełnie stężeje, brać tej masy po trochu na flanelę i wycierać meble, zmyte poprzednio dla zrównania wodą z mydłem. W końcu wyciera się skórą lub miękkim gałgankiem aż się będą świeciły.

P. Zofii D. z Radomia.

O jaja kur „orpington” można się dowiedzieć w Stow. Zlemianek Marszałkowska 149, albo u p. Antoszewskiego — Nowy Tatarsal — Litewska 3 w Warszawie.

Aby uwolnić pelargonie od robaczków trzeba je skrapiać wystudzonym odwarem z tytoniu przynajmniej dwa razy na tydzień

Adres miesięcznika „Muzyka” — Kapucyńska 13.

Przyjaciółce „Bluszczu”

Jeśli suknia ma być odpowiednia na lato radzę przede wszystkim crêpe de chine, przybrany haftem czarnym ze srebrem, lub z kolorami w spokojnych tonach — Niezależnie od pory roku można suknie lub z zrobić z crêpe morocain, ottomanu t. j. rypsu jedwabnego. Jako przybranie zawsze najładniejszy będzie haft.

Opis sukien i robót do Nr. 20.

339. Suknia z crêpe de chine'u morelowego. Spódniczka układana w faldki — przybranie z plisek łączonych ręcznym ażurkiem.

340. Suknia z popeliny, koloru „cyclamen,” przybrana ciemniejszymi wstążeczkami.

341. Suknia z surowego jedwabiu gładkiego i w kratę, przybrana guziczkami.

342. Suknia z crêpe marocain białego i czarnego.

343. Suknia z markizety koloru „pervacne,” przybrana mierzka.

344. Suknia z deseniowego gładkiego woalu — kokardy z wąskiej wstążeczki w dwóch kolorach odpowiednich do sukni.

345. Suknia dla młodej panienci z crêpe de chine'u białego i blade różowego.



NIESZKODLIWA prawdziwa PALONA KAWA ZIARNISTA

dla powszechnego użytku.

Obecnie może już cała rodzina, nie wyłączając nawet małych dzieci, pić kawę ile tylko kto zechce. U każdego pierwszorzędnego kolonialnego kupca można znowu nabyć kawę bez kofeiny „Kawę Hag” znanej przedwojennej dobroci, po przystępnych cenach.

Kawa ta pozbawiona jest szkodliwej kofeiny, jedynej części składowej kawy, która wywołuje bezsenność, nerwowość, uderzenia krwi i bicie serca. Dzięki usunięciu kofeiny i związanego z tym procesem oczyszczeniu kawy, osiągnięto wykwintny smak i mocny, czysty aromat.

„Kawa Hag” jest nie tylko równie wydajna, jak każdy inny gatunek kawy, lecz poza tym, jako szlachetny napój może się znaleźć na najwykwintniejszym stole.

Po użyciu „Kawy Hag” przez miesiąc tytułem próby i obserwacji przez ten czas swego stanu zdrowia każdy skonstatuje zalety tej kawy. Spostrzeżenia będą daleko wymowniejsze od naszych słów. Pijcie ją zawsze, a będziecie ją pili długo, bo kto dba o swe zdrowie ten przedłuży życie.

Poślijcie dziś jeszcze do swego kupca, żądając tylko ziarnistej „Kawy Hag” bez kofeiny.

Żądajcie zawsze, wolnej od kofeiny ziarnistej „Kawy Hag” nie tylko w odnośnych sklepach, lecz także w cukierniach, kawiarniach, restauracjach, hotelach i t. p.

UWAGA: W handlu znajduje się „Kawa Hag” TYLKO w oryginalnym opakowaniu zaopatrzonej pasem rantunkowym.

Reprezentant A. SMOLKA, Warszawa, ul. Marszałkowska 149. Tel. 42 71.

346. Suknia z popeliny w pasy, lub z surowego jedwabiu.

347. Paltocik z ponsowego sukienka, przybrany guzikami z perłowej masy.

348. Sukienka dla dziewczynki od lat 7 do 12 z granatowego płócienka gładkiego i w paski.

349. Ubranko dla chłopczyka od lat 4 do 6 z białego płótna, wyszywane ponsowym i granatowym.

350. Bluzka z crêpe de chine'u lila w dwóch odcieniach. Ciemniejszy kolor wstyty mierzka.

351. Skromna bluzka z szarego crêpe marocain. Karczek biały — paseczek skórkowy.

352. Bluzka z białej „tricoline,” przybrana mierzka i guziczkami.

353. Bluzka z deseniowego woalu, obłożona gładkim woalem w odpowiednim kolorze do deseni.

354. Bluzka z piaskowej popeliny, przybrana ponsowymi pliseczkami.

355. Kapelusz z crêpe georgette koloru „cyclamen” — przybrany płaską kokardą z ciemniejszą wstążką.

356. Wzór na poduszkę lub makatkę. Aplikacja na szarem suknie.

Nadesłane do Redakcji

ROZPORZĄDZENIE Z PRZED STU LAT PRZECIW UŻYWIANIU KAWY

Zmieniają się czasy. Przed stu laty starano się wszelkimi sposobami uniemożliwić używanie kawy, obecnie zaś wszędzie takowa jest w użyciu. Jakich środków używano wtedy w celu zapobieżenia spożycia kawy, niech posłuży jako niezbity dowód, rozporządzenie wydane przez księcia z Hildburghausen, wówczas jeszcze udzielonego księstwa.

Oto treść rozporządzenia:

1. Kto wypije filiżankę kawy, płaci 6 srebrnych marek;

2. Kto handluje kawą, podlega grzywnie 20 talarów;

3. Każdy właściciel zakładu, który pije kawę, lub ją podaje, płaci 6 srebrnych marek;

4. Tej samej karze podlega chlebowodawca, podający służbie kawę;

5. Konfiskuje się wszelkie naczynia, używane do kawy;

6. Kto zajmuje się przemycańiem kawy, będzie przez dwie godziny stał pod słupem karnym;

7. Donosiciel otrzyma trzecią część wyznaczonej kary.

Rozporządzenie przeciw używaniu kawy spowodowane było zapewne tą okolicznością, że jest ona szkodliwa ze względu na zawartą w niej truciznę.

Wówczas nie znano naturalnie jeszcze kawy „HAG,” wolnej od tej trucizny t. j. od kofeiny.

PORADY KOSMETYCZNE

St. St. Wągrów wyciskać zbyt mocno nie należy, natomiast myć twarz proszkiem alkalicznym „Sveno,” oraz smarować kremem „Diana.”

Pani Z. K. Tylko extract „Petunii” usunie pani pięgi radykalnie „Petunia” krem i płyn dr. Leroux.

Studentce. Przede wszystkim głowę myć trzeba tylko mydłem płynnym jak „Pinol.” Ang. płyn „Bisare” usunie pani łupież i zatrzyma wypadanie włosów.

Poważnej. Zmarszczki należy lekko rozprowadzać kremem „Salome.”

Zofii K. Najlepszy ze wszystkich jest „Jersey Matamorphoza” krem, najdokładniej gubi pięgi. Dostanie pani w „Kalotechnice,” w firmie „Perfection” i innych.

Listy do mnie proszę adresować: Warszawa, skrz. poczt. № 594. Marki na odpow. 30 gr. należy załączać. Roemer.

PRENUMERATA „BLUSZCZU”

z przesyłką pocztową wynosi

Rocznie—57 zł. 60 gr., kwartalnie—14.40, miesięcznie—4.80.

Zagranicą: miesięcznie—8 zł.

Zmiana adresu 30 gr.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA

Warszawa, Krakowskie-Przedmieście (Plac Zamkowy) № 99.

Telefon № 239-40.

Konto czekowe P. K. O. № 3700.

Wydawca: Tow. Wydawnicze „BLUSZCZ”, Sp. z ogr. odp.

Redaktorka: WANDA PEŁCZYŃSKA

Dział praktyczny oraz dodatek mód i robót pod redakcją MARIJI PODHORSKIEJ — OKOŁÓW

Redakcja i Administracja: Krak. Przedm. 99. Tel. 239-40.



KOMUNIKAT

BIURA PRASOWEGO

DLA SPRAW KOBIECYCH



WARSZAWA

16 MAJA 1925 r.

Komitet Społeczny Przysposobienia kobiet do obrony Kraju

Zatwierdzony pod tą nazwą statut pozwala Komitetowi na rozpoczęcie szerszej i owocniejszej działalności.

Paragraf 4-ty Statutu ujmuje zadania Komitetu w krótką i zwięzłą formułę:

„Zadaniem Komitetu jest dążenie do wytworzenia jaknajliczniejszych rezerw społecznych kobiecych do służby pomocniczej przy obronie Kraju, oraz wytworzenie silnego ośrodka moralnego poparcia dla tej sprawy“.

Opierając się na zatwierdzonym już Statucie, Komitet zwołał na dzień 27 kwietnia r. b. Zjazd przedstawicielek organizacji, które poprzednio już akces swój zgłosiły. Należą: Koło Polek, Koło przelozonych ż. zakł. nauk, Związek katolicki Polek, P. Cz. Krzyż, P. B. Krzyż, Liga Kobiet, Zw. kobiet pracujących w handlu i biurowości, Koło Wioślarek, Zw. Harcerstwa Polskiego, Sokół, Związek młodzieży wiejskiej, Związek telefonistek. Zjazd zagaiła dotychczasowa przewodnicząca Komitetu, p. Łubieńska. Do Prezydium powołano p. Grocholską, jako przewodniczącą, posłankę do Sejmu Śląskiego p. Szymkowiakównę z Katowic, jako wice-przewodniczącą, p. H. Ceysingerównę, jako sekretarkę.

Sprawozdanie z dotychczasowej działalności Komitetu odczytała p. Marja Podhorska. Działalność ta, prowadzona prawie bez funduszy, ma za sobą jednak 3 obozy letnie, kilka kursów specjalnych i szereg klubów szkolenych.

Referat, wygłoszony przez panią Tarnowską, przewodniczącą sekcji siostr Cz. Krzyża wykazał konieczność szkolenia jaknajwiększej ilości sanitariuszek, któreby

będąc t. zw. „siostrami rezerwy“ mogły w razie wojny stanąć do apelu. Potrzeba 10 tysięcy takich rezerwistek, a wyszkolono ich dotychczas 700.

Obecny p. pułk. Minkowski, delegat Ministerstwa Spr. Wojsk. uzupełnił niepokojące informacje p. Tarnowskiej, oświadczeniem, że 10 tysięcy sanitariuszek, to liczba niezbędna na pierwszy moment wojny. W dalszym jej rozwinięciu liczba ta musiałaby się znacznie powiększyć.

Referat p. pułk. Minkowskiego stwierdzał, że sytuacja Polski jest wyjątkowo trudną; linje polityki niemieckiej i rosyjskiej są linjami niewzruszonymi od wieków. Wobec tego przygotowanie wszystkich sił, jakie mogą być w naszym rozporządzeniu, jest rzeczą absolutnie konieczną. Przysposobienie rezerw kobiecych należy do najdonioślejszych zagadnień. Dotychczas jednak społeczeństwo nie zdaje sobie z tego sprawy. Cyfry, podane przez sprawozdania, są znikome. Ze strony Ministerstwa Oświaty—brak współdziałania. Wreszcie brak odpowiednich środków materialnych! A i teza sama ma w społeczeństwie przeciwników. Daje się wyczuwać brak pod tym względem silnego ośrodka opinii kobiecej. Powinien nim stać się Komitet.

Do Sejmu w tym roku jeszcze Min. Spr. Wojsk. wnieśli projekt ustawy o przysposobieniu żeńskiej młodzieży do służb wojskowych pomocniczych: sanitarnej, łączności, oświatowej i gospodarczej.

Sposób wykonania ustawy przekazany być ma Min. S. Wojsk. Zasadniczą jednak sprawą byłoby wprowadzenie przymusu wychowania fizycznego dla młodzieży szkolnej i uniwersyteckiej, zarówno żeńskiej jak męskiej.

To byłby moment decydujący dla całej sprawy.

Koniecznym także jest prowadzenie ewidencji wyszkolonych wojskowo sił kobiecych, czego dotychczas niestety nikt nie robi.

Referat dr. Budzińskiej-Tylickiej o Służbie Obywatelskiej Kobiet wywołał duże zainteresowanie.

Po przerwie referowała p. Witekówna plany pracy na przyszłość, a więc przedewszystkiem—organizację obozu letniego, który w tym roku założony zostanie w Zaleszczykach i posiada pomieszczenie na 100 kandydatek.

Do Zarządu Komitetu wybrano panie: Łubieńską, posł. Holder-Eggerową, Tarnowską, Dąbską, Witekównę, Ukleską i Walczewską.

Zjazdy i Kongresy

— KONGRES MIĘDZYNARODOWEJ RADY KOBIEĆ W WASZYNGTONIE. Dnia 4 maja dokonano uroczystego otwarcia Kongresu Międzynarodowej Rady Kobiet Obradom przewodniczy lady Aberdeen. W obradach uczestniczą przedstawicielki 40 państw, których sztandary powiewają na estradzie.

Przy otwarciu obrad przemawiał witany owacyjnie Herbert Hoover. We wtorek obradowały komisje, w środę prezydent Coolidge przyjął uczestniczki zjazdu w Białym Domu. Zjazd potrwa do 14-go b. m.

Polskę reprezentuje delegacja w osobach sen. Szebekówny, posł. Holder-Eggerowej, Wrzesieniowej i Makowieckiej.

W czwartek pos. polski Wróblewski wydał przyjęcie dla delegatek.

Program prac Kongresu zawiera kwestje, niezmiernie ciekawe i aktualne i nie tylko dotyczące prawnego położenia kobiety, ochrony macierzyństwa i opieki nad młodzieżą i dzieckiem, ale ogarnia szerszy zakres międzynarodowo-społeczny, w którym na pierwszy plan wysuwają się kwestje szkolnictwa dla mniejszości narodowych, emigracji i imigracji, przyciągnięcia Ligi Narodów i jej propa-

gadandy, poza tem kwestje arbitrazu międzynarodowego i gwarancji, odsuwających możliwość wojny, wpływy kobiece w utrwaleniu wszechświatowego pokoju, i ideały w życiu międzynarodowym.

— PIERWSZY POWSZECHNY KONGRES OPIEKI NAD DZIECKIEM. W Genewie od 24-go do 28-go sierpnia obradować będzie pierwszy powszechny Kongres opieki nad dzieckiem. Patronat nad kongresem objęła Rada Związkowa szwajcarska.

Hasłem Kongresu jest. „ludzkość winna dać dziecku to, co posiada najlepszego“.

Kongres obradować będzie w 3-ch sekcjach: higieny i medycyny, pomocy i opieki społecznej oraz szkolnictwa i propagandy.

W Kongresie wezmą udział przedstawiciele poszczególnych państw, przedstawiciele organów państwowych, szkolnictwa i opieki społecznej, instytucyj i zakładów opieki, wreszcie poszczególne osoby prywatne, interesujące się sprawami, które omawiać będzie Kongres.

Współudział dotychczas zgłosiło trzydzieści kilka krajów, między innymi i Polska. Do Komitetu honorowego Kongresu zaproszeni zostali z Polski: p. prof. A. Mogilnicki wygłosi referat w sekcji pomocy i opieki społecznej (26 sierpnia) i p. dr. Gromski — w sekcji higieny i medycyny (25 sierpnia).

Biuro Komitetu organizacyjnego Kongresu mieści się w Genewie (4, rue Massot).

Z życia stowarzyszeń

— OD STOWARZYSZENIA ZJEDNOCZONYCH ZIEMIANEK otrzymujemy następujący komunikat:

„Wobec szerzących się pogłosek, jakoby Berło dla Matki Boskiej Częstochowskiej zostało już złożone dn. 3 maja, pośpieszamy wyjaśnić, że nie jest to zgodne z prawdą. Berło wykonywane się w artystycznej pracowni „Braci Łopieńskich“ i będzie wręczone w rocznicę Cudu nad Wisłą 15 sierpnia. Składki napływają i są w dalszym ciągu przyjmowane.“

— KLUB POLITYCZNY Kobiet POSTĘPOWYCH złożył Sejmowi projekt prawa o dzieciach nieślubnych. Zasadnicze punkty jego żądań, zgodnie z uchwałą, powziętą na zjeździe Małej Ententy Kobiec w Belgradzie w r. ub., brzmią:

1. *Ażeby poszukiwanie ojcostwa było nakazane.*

2. *Ażeby dzieciom nieślubnym służyły równe prawa z dziećmi ślubnymi.*

3. *Ażeby została stworzona „Państwowa ubezpieczeniowa kasa dziecięca“, zasilana opłatami proporcjonalnymi do zamożności ojców przez sąd uznanych, z której każde dziecko otrzymywałoby pensję do lat 18-u. Pensja ta winna zapewnić dziecku możliwość wyżycia i nauki.*

Ta sama kasa wypłacałaby matce niezamężnej zasiłek na koszt połogu i trzymiesięczne utrzymanie dziecka, nawet przed znalezieniem i uznaniem ojca.

Działalność kasy należałoby rozciągnąć i na dzieci ślubne, złośliwie przez ojców opuszczone.

Dla urzeczywistnienia wszystkich postulatów kasy należy ustanowić konwencję międzynarodową.

— OGÓLNE ZEBRANIE ZWIĄZKU KOBIEC POLSKICH, PRACUJĄCYCH W HANDLU I BIUROWOCI odbyło się w kwietniu r. b. pod przewodnictwem p. Bogatko-Englertowej.

Najważniejszym zadaniem Związku w ciągu roku było przeciwstawienie się masowej redukcji kobiet, oraz niesienie pomocy zredukowanym. Delegatka Związku do Zrzeszenia polskich zaw. pracowniczych, p. Eugenja Waśniewska, zdała sprawę z działalności zrzeszenia. Zebranie uchwaliło popierać nadal Zrzeszenie, uznając jego działalność za pożyteczną dla spraw pracowniczych. Z powodu nadzwyczajnego obniżenia płac na skutek przesilenia ekonomicznego, Związek uchwalił żądać ustanowienia minimum wynagrodzenia, aby na przyszłość zapobiec wykrowi.

W ciągu roku czynne były: sekcja samokształcenia, która prowadzi kursy handlowe i języków obcych, pod kierunkiem p. Miklaszewskiej, jako przewodniczącej sekcji; sekcja biblioteczna pod przewodnictwem p. Górskiej i sekcja klubowa pod kierunkiem p. de Carton, oraz wydział pośrednictwa pracy. Wybory do władz Zw. dały wynik następujący: na przewodniczącą wybrano ponownie p. Z. Dobrzańską, na wice-przewodniczącą p. Jadwigę Jaworską, do zarządu pp. Grzesiewiczównę i Szumską, do komisji rewizyjnej pp. Waśniewską, Marję Zawadzką i Stummerową.

Wybrano Komitet, obchodu 20-to lecia Związku.

Wniosek Zarządu dotyczący, statystyki kobiet pracujących został uchwalony i przekazany do załatwienia Zarządowi Związku.

Związek kobiet pracujących

POZNAŃ 1-V.

Korespondencja wł. B. Pr. dla spr. kob.

Związek kobiet pracujących jest to zrzeszenie, skupiające robotnice, zatrudnione na roli, w fabrykach i różnych przedsiębiorstwach, oraz służbę domową. Związek powstał w roku 1907 i obejmuje 75 stowarzyszeń w Poznaniu i na prowincji.

Organem Związku jest, wychodząca co miesiąc, 8 stronicowa „Gazeta dla kobiet“ w nakładzie 21000 egzemplarzy.

Związek posiada w Poznaniu własny dom, sale, ogniska i bezpłatną poradnię dla matek. Urządza kursy praktyczne, np. ostatnio dla Stowarzyszenia młodzieży 3 miesięczny kurs książkowości, 9 miesięcznych kursów kucharstwa z udziałem 170 uczenic. Organizuje wykłady. W zeszłym miesiącu odbył się cykl wykładów o małżeństwie. Zainteresowanie było tak żywe, że w Poznaniu musiano go powtórzyć. Poza tem zażądały go Inowrocław i Bydgoszcz, a jest projekt powtórzenia go w innych miastach.

1 lutego odbyły się przygotowania do ogólnego Zjazdu.

5 kwietnia b. r. urządzono poraz pierwszy w Polsce „Święto Matki“, aby uświetnić imię matki i uszlachetnić rodzinę.

Program wieczoru przedstawiał się bogato. Referat na temat: „Dostojeństwo macierzyństwa“ wygłosił ks. kan. Prądzyński. Poza tem były deklamacje, śpiew, występy muzyczne i sceniczne obrazy. Uroczystość utrzymana na podniosłym poziomie wypadła bardzo dobrze i będzie w grudniu powtórzona. Na czele Związku stoi Rada Główna, składająca się z 12 osób.

Związek Kobiet Pracujących ma szerokie pole do działalności i rozwija się pomyślnie. W. K.

Opieka nad matką i dzieckiem

— Dn. 4-V odbył się w lokalu Polsko-am. Komitetu pom. dzieciom egzamin słuchaczek Kursu opieki nad matką i dzieckiem, zorganizowany przez Wydział higieniczno-lekarski tejże instytucji, z inicjatywy dr. Gromskiego.

Kurs trwał 6 miesięcy. Ukończył go 20 słuchaczek.

— Ministerstwo Pracy i Opieki Społecznej wystąpiło z pismem okólnym do wszystkich województw, w którym, zobrazowawszy zapomocą liczb opłakane stosunki w dziedzinie opieki społecznej nad macierzyństwem, zaleca przeprowadzenie odpowiedniej propagandy oraz dopilnowanie, by odnośnie jednostki samorządowe wstawiły do swych preliminarzy budżetowych na rok przyszły odpowiednie sumy na tworzenie oddziałów położniczych w szpitalach powszechnych ew. specjalnych zakładów dla rodzących, schronisk dla ciężarnych i położnic, oraz matek karmiących i otwieranie poradni dla matek karmiących.

— Stacja opieki nad niemowlęciem i matką założona w Bydgoszczy przez Ministerstwo Pracy i Opieki Sp. ma obecnie pod swoją opieką 69 dzieci w wieku od 6 do 12 miesięcy 163 dzieci w wieku od 1 do 2 lat i 5 ro od 2 do 3-ch lat. Dzieci nieślubne zaraz po przyjściu na świat w klinice, zabiera Stacja pod swoją opiekę, umieszczając je w Żłobku Sióstr Miłosierdzia, gdzie pozostają do roku, a potem rozdawane są osobom prywatnym na wychowanie pod stałą jednak kontrolą. Dzieci nieślubnych jest obecnie w ewidencji oddziału Min. pr. i op. Sp. w Bydgoszczy 275.

— Opieka nad dzieckiem i matką oraz walka ze śmiertelnością niemowląt będzie jednym z głównych tematów obrad IV zjazdu lekarzy i działaczy sanitarnych miejskich w Krakowie w dniach 18 i 19 maja b. r.

Na referentów tego tematu zostali zaproszeni: docent uniwersytetu warszawskiego dr. Władysław Szeniaich oraz dr. Budzińska-Tylicka i dr. Gromski z Warszawy.

— Sprawa karmienia niemowląt przez obce kobiety, najmowane specjalnie w tym celu, aczkolwiek tak doniosła dla zdrowia publicznego — dotychczas nie była ujęta w normy prawne. Obecnie w krótkim czasie będą ogłoszone w „Monitorze Polskim”, instrukcje, wprowadzające w życie rozporządzenie Ministra spraw wewnętrznych i Ministra pracy i O. S. z dnia 14 października r. ub. w sprawie praw i obowiązków kobiet, karmiących obce niemowlęta. (Dz. U. R. P. № 94, poz. 876). W myśl omawianych przepisów karmicielka winna zarejestrować u władz I-szej instancji świadectwo lekarskie, wydane przez praktykującego lekarza. W świadectwie winien być stwierdzony stan zdrowia karmicielki, a zwłaszcza że nie jest chora na żadną z chorób zaraźliwych.

— Wobec tego, że zdarzają się często wypadki, iż Komisarjaty policji aresztują ciężarne kobiety, na skutek nadsyłanych przez sądy wyroków do wykonania, p. kometant policji przypomina kierownikom komisarjatów i urzędów policyjnych, że w myśl ust. 2 art. 959 U. P. K. wykonanie kar względem kobiet ciężarnych lub takich, które świeżo uległy rozwiązaniu, zawieszają się do upływu 40 dni od chwili rozwiązania.

Z Rad Miejskich

— Na posiedzeniu Rady Miejskiej w Radomiu, dn. 21.IV w ożywionej dyskusji w sprawie nagłego wniosku, dotyczącego nominacji nowego dyrektora gimnazjum, zabierała głos p. Kelles Krauzowa, przewodniczącą Rady Miejskiej w Radomiu, zdawszy przedtem przewodnictwo swemu zastępcy. Nagłość wniosku przyjęto.

Udział kobiet w stowarzyszeniach mieszanych

— Do Komitetu organizacyjnego zjazdu historyków polskich w Poznaniu weszły panie: Helena Polackówna i Helena Radlińska.

— Do Komitetu Muzeum Rzemiosł i sztuki stosowanej w Warszawie wybrano posłankę Gabriellę Balicką.

— Do Zarządu Patronatu nad więźniami w Warszawie weszły p. adw. H. Wiewiórska, J. Pechkrancowa, Petersowa i Rozentalowa; do komisji rewizyjnej p. Waserbergerowa.

— Na walne zebranie P. Cz. Krzyża wybrano w Gnieźnie jako delegatki panie: doktorową Szarfarkiewiczową, doktorową Musiałową, panie: Dybowską, Kozłowską, Krzezińską, Kowełową, Wojciechowską i Nowakowską.

Nauka i sztuka

— CHÓRY ŻEŃSKIE. Pochwały specjalistów zyskał sobie chór żeński dyr. Sielskiego, który niedawno poraz pierwszy wystąpił w Warszawie.

— Jako 1-szy numer w szeregu zamierzonych „Prac Instytutu Socjologicznego” w Poznaniu, ukazała się rozprawa dr. L. Dobrzyń-

skiej-Rybickiej p. t. „Wybory Powszechne w świetle psychologii społecznej i etyki.” Rozprawa oparta jest przeważnie na materiale, zgromadzonym za pomocą rozpisanej w swoim czasie i zwróconej specjalnie do kobiet, ankiety.

— Na Wystawie dzieł sztuki w Wilnie znajdują się prace Julji Bałzukiewiczówny, oraz 30 eksponatów z dziedziny tkactwa artystycznego ze szkoły im. Anny Mohłówny w Wilnie.

Wiadomości Zagraniczne

ESTONJA. *Służba wojskowa kobiet.*—Według doniesień prasy zagranicznej, projekt rządowy ogólnego poboru do służby wojskowej ma obejmować także i kobiety. (Przypuszczamy, że chodzi tu oczywiście o służbę pomocniczą, nie zaś frontową). Granica wieku w którym może nastąpić powołanie do tej służby, wynosi od 17 do 55 lat.

INDJE. *Kobieta sędzią.* Pani Sadisiva Iyer, członkini Związku Centralnego Stowarzyszeń Kobietych w Indjach, została niedawno mianowaną sędzią honorowym w mieście Madras. Jest to bardzo wysokie stanowisko w sądownictwie indyjskim. Wkrótce potem podobne stanowisko w mieście Mangalore otrzymała druga zasłużona działaczka, pani Pandurando Rao.

ST. ZJEDNOCZONE. *Kobiety — farmerki.* Liczba kobiet, trudniących się samodzielnie pracą na roli w St. Zjednoczonych wciąż wzrasta. Wedle statystyki urzędowej w jednym tylko stanie Kentucky pracuje na roli 17.500 kobiet, z tych 11.540 prowadzi gospodarstwo rolne wyłącznie o własnych siłach, obywatelk się najzupełniej bez męskiej pomocy. Ogólna ilość ziemi, uprawianej przez te dzielne niewiasty wynosi 771.000 akrów; wartość tych farm (razem z budynkami, inwentarzem i t. d.) stanowi ogółem około 47 milionów dolarów.

Odznaczenia

— Dn. 29 marca Minister Spraw Wewnętrznych p. Ratajski wręczył srebrny Krzyż Zasługi p. Zofji Komorowskiej - Kazimirowej działaczce społecznej na Kaszubach za zasługi, położone na polu niesienia pomocy żołnierzom.

— Medale pamiątkowe dn. 4 maja otrzymały panie Koryznowa i Zembrzуска z Lublina za owocną pracę społeczną, p. Antonina Kołaczowska (Piotrowice) za pracę nad rozwojem szkolnictwa powszechnego.

— Z okoliczności Święta Narodowego dnia 3 maja odznaczone zostały orderem „Polonia Restituta“ następujące panie:

1) Marja hr. Zamoyska z Kórnik — krzyż komandorski.

2) Helena Marcello Pallńska artystka dramatyczna krzyż oficerski.

3) Marja Demelówna nauczycielka we Lwowie krzyż oficerski, za zasługi położone dla Skarbu Państwa.

4) Marja Kleniewska z Kluczkowic — krzyż oficerski, za długoletnią działalność na polu oświatowym i kulturalnym w czasach niewoli.

5) Marja Gomolińska instruktorka pedagogiczna na kursach dla dorosłych w Warszawie — krzyż kawalerski, za długoletnie zasługi na polu tajnej pracy oświatowej.

6) Helena Zboińska-Ruszkowska artystka opery warszawskiej — krzyż oficerski.

7) Celicja Walewska — krzyż oficerski za pracę społeczno-oświatową.

Przegląd prasy

„Tydzień literacki“, dodatek do „Dnia Polskiego“, drukuje w № 13 z dn. 26 IV artykuł E. Sukiertowej p. t. „Z krainy czarnego Krzyża“ (Prusy).

— „Kurjer Polski“ w „Refleksjach“ pisze:

„W sądach warszawskich występuje pierwsza w Polsce adwokatka. W Europie jest już dużo adwokatów i żadnej tam nie budzą sensacji. Ale u nas jeszcze to niektórych śmieszy. Kobieta-adwokat! Jakże to śmieszne! Ha, ha, ha hi, hi, hi! I śmieje się jeden dureń z drugim. Co gorsza, że pozwala mu się jego „poglądy“ wyrażać w drukowanym słowie. W założonym niedawno dzienniczku warszawskim zamieszczono sprawozdanie sądowne pod nagłówkiem: „Jak w operetce francuskiej“! Chodziło o jakiś zatarg mieszkaniowy. Ale obronę prowadziła kobieta. Jakże to wesołe! Jak „w operetce francuskiej“! A na zakończenie plugawy pocisk: Zaznaczyć należy, że

z ramienia G. występowała pierwsza w Polsce adwokatka, p. Wiewiórska, którą sfery klienteli płci żeńskiej darzą specjalnym zaufaniem, zwłaszcza gdy chodzi o sprawy drastyczne“...

A dalej cały szereg uwag „Kurjera“ wywołanych tym tematem, z których przytaczamy jedną tylko:

„Najbardziej godnym politowania jest ów typ człowieka, który nie rozumie postępu, ptasim swoim mózgiem nie obejmuje wielkich przemian w życiu ludzkim i... serdecznie się z nich śmieje. Niema rzeczy tak poważnej, z której głupiec nie mógłby się uśmieć. I niema dla ludzi myślących nic bardziej przykrego, niż ten jego śmiech“.

— Katowicki „Polak“ zamieszcza interesujący artykuł p. t. „O pracy kobiet“. Omawiając przyjętą w roku zeszłym ustawę o ochronie pracy kobiet, dodaje:

„Aż do początku wojny postanowienia te były ściśle przestrzegane w całym b. zaborze pruskim i na Śląsku. Od wybuchu wojny, aż do tąd, przepisy te bywają świadomie zapomniane ku szkodzie kobiet, pracobiorców i społeczeństwa. Widzimy kobiety, pracujące przy transportach materiałów budowlanych, w cegielniach, fabrykach i górnictwie. Dźwigają ciężkie materiały, pchają wózki z ziemią, węglem, żelazem i t. p. Chodzą po rusztowaniach z wodą, roznoszą cegły i t. d.

Mimo to nikt się temu nie sprzeciwia, nie protestuje, ani z troski o przyszłość naszego społeczeństwa, ani z obowiązków moralnych albo obyczajowych. A przecież: jakie matki polskie — taka młodzież i takie też społeczeństwo pod względem zdrowotnym.“

Tak więc pod własnymi rządami naszymi, sytuacja pod tym względem nie tylko nie poprawiła się, ale położenie kobiet jest gorsze niż było, a ustawa dotychczas zdaje się być tylko świstkiem papieru, bez znaczenia.

— „Unja“ № 29 porusza sprawę dzieci nieślubnych, zaznaczając, że wśród dzieci tych zachodzi 80% śmiertelności w pierwszym roku życia.

Wiadomości bieżące

KOBIETA URZĘDNIKIEM POLITYCZNYM. Panna Kazimiera Iłakowiczówna, (znana w literaturze

jako I. K. Iłakowicz) otrzymała po sześcioletniej służbie w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, z dniem 1 maja 1925 r. nominację na referendarza w VII stopniu służbowym. Przdzielona do Departamentu Dyplomatycznego M. S. Z. od listopada 1918 roku, pani Iłakowiczówna jest pierwszą kobietą w Polsce, pełniącą służbę dyplomatyczną.

— W Grudziądzu, dzięki inicjatywie ks. dziekana Dembka, utworzył się Komitet do walki z handlem kobietami i dziećmi.

Posiedzenie inauguracyjne odbyło się w sobotę wieczorem, w sali posiedzeń Rady Miejskiej ze współudziałem przedstawicieli towarzystw kobiecych. Inicjator zagał posiedzenie, zaznając zebrań z historią ruchu, przeciwdziałającego handlowi żywym towarem, jako też z obecną organizacją, obejmującą z Centrali warszawskiego Komitetu całą Polskę. Ożywiona dyskusja, jaka się wywiązała z treściwego referatu, stwierdziła konieczność założenia miejscowej grupy Komitetu.

— Zawiązał się w Wilnie Komitet uczczenia Elizy Orzeszkowej z powodu 15. rocznicy jej zgonu (18 maja). Uchwalono: 1) Urządzić wystawę pamiątek ś. p. Orzeszkowej w Tow. Przyjaciół Nauk, 2) Odczyt w uniwersytecie, 3) przedstawienie w teatrze, 4) Pogadanki o zasłużonej pisarce w domach ludowych i na wystawie, która potrwa z tydzień, oraz 5) odnieść się do Kuratorium z prośbą o stosowne zarządzenia, by szkoły średnie i powszechne miały w tym dniu odpowiednie odczyty.

Do Komitetu weszły panie: L. Życka i Czarkowska.

— Zakład św. Jadwigi w Krakowie pod zarządem kat. Związku Polek, zawiadamia pracownice wszelkich kategorii, że od 15 maja otwiera internat. Zgłaszające się kandydatki w wieku od 17 do 30 lat, mają przedstawić dowód osobisty, świadectwo lekarskie i polecenie instytucji, lub wiarogodnych osób. Cena za mieszkanie, światło i opał wynosi 15 zł. miesięcznie. Mieszkanki mogą też otrzymywać śniadanie w cenie 30 gr., kolację 40 gr. Obiad na razie w kuchniach Kat. Związku Polek, mięsny za 60 gr. jarski — 30 gr. Zgłaszać się należy do kierowniczk Zakładu, ul. Krupnicza 34, I. piętro w poniedziałki środy i piątki od g. 5. do 7.